Nr. 122. Lwów — Wtorek dnia 30 Maja. Rok 1893.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu „ 1 złr.

Prenumeratę miejscową przyjmują:
Biuro dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.
Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5.
„ J. Ważnego przy ul. Czarnieckiego l. .
„ przy ul. Słowackiego (obok kas. D y)
„ Niemojowskiego ul. Jagiellońska l. 6.
„ Niżałowskiego Hotel Żorża.
Prenumerata z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięczna złr. 1.10 | Półroczna złr. 6
Kwartalna „ 3.— | Roczna „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENA OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 25 „
Nekrologia . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Dziś: św. Feliksa P. | Fteodota Mucz.
Jutro: św. Petroneli P. | Patrykia
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.
Wschód słońca g. 4 m. 13
Zachód „ 7 „ 43
Długość dnia g. 15 m. 30
Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 29 maja.

Niemiły rozdźwięk zamącił zaraz na pierwszem publicznem posiedzeniu tak spokojny i poważny zazwyczaj przebieg obrad delegacyi austryackiej. — Spór między stronnictwami w Czechach przeniesiono do delegacyi, gdyż w sposób demonstracyjny pominięto młodoczeskich delegatów przy wyborach do komisyi. Wywołało to oczywiście ze strony młodoczechów namiętne protesty, które są zapowiedzią, że tegoroczna sesya delegacyi ku uciesze Rosyi nie obejdzie się bez skandalicznych scen. Na protest, wniesiony imieniem młodoczechów przez p. Herolda, odpowiedział przywódzca lewicy niemieckiej dr. Plener a odpowiedzią swą jeszcze pogorszył sytuacyę. Powiedział on bowiem, że wszystkie stronnictwa reprezentowane w delegacyach przystąpiły do wyborów komisyi z powziętym z góry zamiarem nie wybierania ani jednego młodoczecha, gdyż nie mogą one utrzymywać stosunków ze stronnictwem, które przekracza wszelkie granice parlamentarnej przyzwoitości. Odpowiedź ta, pominąwszy, iż była wielce niepolityczna i niestosowna, jeszcze grzeszyła tem, iż nie zgadzała się z prawdą. Niewybranie bowiem młodoczechów nie było wynikiem porozumienia się wszystkich stronnictw, jak to p. Plener powiedział, ale wyłącznem dziełem większości delegatów z Czech, t. j. liberalnej lewicy i szlachty czeskiej. Sprawa miała się bowiem jak następuje: Jak wiadomo, wybiera członków delegacyi nie ogół Rady państwa, ale oddzielnie posłowie każdego z krajów koronnych. Tę samą zasadę przyjęto także przy wyborach komisyi z łona delegacyi. Delegaci każdego kraju przedstawiają członków komisyi tylko kandydatów ze swego grona, ilu przypada na ich kraj stosunkowo do liczby delegatów, a delegaci innych krajów koronnych głosują bezwarunkowo na przedstawionych im kandydatów. Praktyka ta istnieje od tak dawna, od kiedy istnieją delegacye. Otóż delegaci czescy z łona lewicy i szlachty, ułożyli listę kandydatów do komisyi i nie umieścili na niej ani jednego młodoczecha. Listę tę przedstawiono trzem delegatom, wybranym przez poszczególne grupy do poufnych rokowań.

W liczbie tych trzech znajdował się także prezes Koła polskiego p. Jaworski. Zwrócił on zaraz uwagę na to, że na liście tej nie ma ani jednego młodoczecha, a należy im przecież przyznać jeden mandat w komisyi budżetowej. Na to odpowiedzieli reprezentanci lewicy i szlachty czeskiej, że wybór kandydatów tylko do nich należy i że delegaci galicyjscy nie mają prawa korygować listy kandydatów przez nich ułożonej tak samo, jak oni nigdy nie poprawiają listy kandydatów z Galicyi. W obec takiego oświadczenia nie mógł p. Jaworski naturalnie żądać zmiany przyjętej listy kandydatów proponowanych, zaznaczył jednak, że nie przyjmuje żadnej odpowiedzialności. Młodoczesi dowiedzieli się o tem co zaszło i p. Herold zażądał od Plenera wyjaśnienia. Plener odpowiedział mu, że rzeczywiście zapadło postanowienie niewybierania młodoczecha do komisyi, ale inicyatywa do tego nie wyszła z łona lewicy. Zwrócił się więc p. Herold do reprezentanta szlachty czeskiej hr. Deyma, ten jednak zbył go szorstką odpowiedzią: „Nie mam czasu“. — Herold rzekł mu na to: „Smutno to bardzo, że pan w tak poważnej sprawie nie masz czasu“. Wnet potem odbyły się wybory, których rezultat wiadomy. Zajście to musi wpłynąć bardzo ujemnie na przebieg delegacyi, zakłóci bowiem ich obrady sporem do nich nie należącym, przewlecze załatwienie ważnych spraw obchodzących całą monarchię, wreszcie wyciągnie waśni wewnętrzne jednego kraju na szeroką arenę, na którą zwrócone są oczy całej Europy.

Tak więc źle przysłużyli się monarchii członkowie lewicy i konserwatywnej szlachty czeskiej. Na delegacyi polskiej żadna odpowiedzialność ciężyć nie może, gdyż ona zajęła w tej sprawie stanowisko zupełnie lojalne. Nie czuje ona do młodoczechów sympatyi za ich służalczość dla Rosyi, za sposób, w jaki politykę swą starają się przeprowadzić, za ich bezwyznaniowe dążności, mimo to jednak stoi na tem stanowisku, że jeżeli delegacye mają być niejako bukietem, uwitym z kwiatów, przedstawiających wszystkie kraje koronne, to nie powinno w nim także brakować kwiatka młodoczeskiego, chociaż on podobny jest raczej do pokrzywy, niż do fiołka. — Stanowisko to zaznaczy jeden z delegatów polskich na najbliższem posiedzeniu komisyi budżetowej, co potrzebnem jest już z tego względu, że p. Plener, mówiąc o powziętym z góry przez wszystkie stronnictwa zamiarze nie utrzymywania żadnych stosunków z młodoczechami, dał przez to do zrozumienia, że także Polacy solidaryzują się z decyzyą powziętą przez liberałów i szlachtę czeską, a takie przedstawienie rzeczy nie zgadza się z prawdą, jak to wyżej wypowiedzieliśmy.

Sobotnie przyjęcie delegacyi przez Najj. Pana pozostanie naszym delegatom w miłej pamięci, jest ono bowiem ponownym dowodem szczerych sympatyi, jakie dostojny Monarcha żywi dla naszego kraju i jego reprezentantów. Dla każdego z nich bowiem znalazł Cesarz łaskawe słowo i z żywem zajęciem rozmawiał z nimi o pracach sejmu naszego. — Przebieg cercle'u sobotniego był następujący: Wypowiedziawszy mowę tronową, która na wszystkich zrobiła jak najlepsze wrażenie swym tonem nader pokojowym, przystąpił Najj. Pan do stojących w sali grupami delegatów. Koło młodoczeskich posłów dr. Massaryka, dr. Herolda i dr. Pacaka przeszedł Cesarz w milczeniu, zatrzymał się tylko przy czwartym młodoczechu Adamku i rzekł mu: „Pan w tym roku znowu należysz do delegacyi?“ — Adamek był przez kilka lat członkiem delegacyi, ale należał wówczas do obozu staroczeskiego.

Następnie zwrócił się Cesarz do stojącego w pobliżu p. Jaworskiego i rzekł doń: „Cieszy mnie to, że mogę pana powitać jako wiceprezydenta delegacyi austryackiej.“ Potem rozmawiał Najj. Pan z Plenerem, Chlumeckim, hr. Deymem, hr. Falkenhaynem i hr. Coroninim i zatrzymał się przed hr. Wodzickim, pytając go, czy po raz pierwszy w delegacyach zasiada. Hr. Wodzicki potwierdził to pytanie, a Najj. Pan z uznaniem wyraził się o działalności hr. Wodzickiego, który niemal cały czas swój poświęca sprawom publicznym, pracując w sejmie, w Radzie państwa, a teraz także w delegacyach. Następnie zwrócił się Cesarz do stojącego w pobliżu hr. Stanisława Badeniego, wypytywał go o zdrowie brata, Namiestnika Galicyi, poczem zrobił uwagę, że ostatnia sesya Sejmu galicyjskiego przeszła bardzo spokojnie i skutkiem tego załatwił nasz Sejm wiele bardzo pożytecznych przedłożeń. Hr. Badeni odparł na to, że przebieg sesyi sejmowej był wiernym obrazem usposobienia całego kraju, który chce spokojnie pracować, aby się podnieść pod względem ekonomicznym i cywilizacyjnym. Cesarz wspomniał jeszcze z uznaniem o uchwalonej przez Sejm galicyjski ustawie o kolejach lokalnych i subwencyi na kolej Tarnopol-Halicz, poczem rozmawiał przez chwilkę kolejno z delegatem Hartlem, Suessem, Stelitzem, Heilsbergiem i kilku innymi, a zatrzymał się dłużej znów przy dwóch delegatach polskich pp. Popowskim i Chrzanowskim.

Do Popowskiego rzekł Cesarz: „Pan w tym roku znów dostałeś referat extraordinarium wojskowości? Zmniejszyło się ono cokolwiek“. Popowski odparł na to: „Właściwie nie“, — a Cesarz rzekł żywo: „O tak, gdyż kilka pozycyi przeniesiono z extraordinarium do ordinarium. Aleć to jest o wiele racyonalniej“. P. Popowski zauważył, że przeniesienie to odpowiada także życzeniu, wyrażonemu przez delegacye w osobnej rezolucyi. — Stanąwszy przed p. Chrzanowskim rzekł Cesarz: „Cieszy mnie to, że pana widzę i że pan od tylu lat już pracujesz skrzętnie w Sejmie, radzie państwa i w delegacyach“. — „Dziękuję Panu Bogu najwyższemu — odrzekł Chrzanowski,—że pozwala mi tak długo służyć Najj. Panu, państwu i krajowi“. — „Powracasz pan ze Sejmu galicyjskiego — rzekł Cesarz — który załatwił wiele bardzo ważnych spraw“. — „Tak Najj. Panie — odrzekł delegat — Sejm nasz załatwił we wrześniu budżet, a teraz w maju uporał się z wielu sprawami pożytecznemi dla kraju i państwa. Między innemi uchwalił Sejm milion reńskich dla kolei wschodnio-galicyjskich, które mają znaczenie dla całego państwa“. — „O tak — rzekł Cesarz — koleje te będą bardzo ważne zarówno ze strategicznych jak i z ekonomicznych względów“.

KORESPONDENCYE.

Poznań 24 maja.

(*S.*) To, co się u nas dzieje obecnie, tu w Poznańskiem, musi napełnić serce każdego uczciwego Polaka boleścią wielką. Do jakiego stopnia może zaślepić namiętność i żądza panowania, o tem świadczy zebranie przedwyborcze, które się odbyło w ostatni wtorek. Smutno pisać o tem, bo wstyd doprawdy, że wśród naszego społeczeństwa znajdują się ludzie, którzy nie wahają się dla dogodzenia własnym fantazyom i zachciankom poświęcać dobra ogółu. Zebranie zagaił redaktor „Dziennika“ p. Dobrowolski, a powitawszy obecnych na sali posłów naszych, oddał głos szambelanowi Cegielskiemu. Szanowny poseł w znakomitej mowie skreślił i scharakteryzował stanowisko Koła polskiego w Berlinie, a następnie zdawał sprawę z czynności poselskich. Niestety p. dr. Szymański, redaktor *Orędownika*, sprowadził na salę całą sforę krzykaczy, nauczywszy ich poprzednio, że mają nie dopuścić szanownego naszego posła do głosu, tak, iż istotnie trudno było pomimo natężenia mówcy słyszeć dokładnie, co mówił. Mowę jego przerywano ciągle protestami, karczemnemi okrzykami, które łączyły się z oklaskami, jakiemi [illegible] posłowi naszemu. Skoro szambelan Cegielski przestał mówić, zabrał głos redaktor *Orędownika*, który pomimo, [illegible] oświadczył teraz na wstępie, że zajmuje „wręcz przeciwne“ stanowisko. Zaczepiał on przemówienie posła Cegielskiego, nazwał ustawę o ochronie robotnika drobnostką i plątał się w sprzecznościach bez końca, co mu też udowodnił poseł Cegielski, zabrawszy ponownie głos po nim. Kiedy przyszło do głosowania, podnieśli adherenci p. Sz. taki krzyk i taką wrzawę, że obecna na zebraniu władza policyjna rozwiązała zebranie i wszyscy rozeszli się, nic nie uchwaliwszy.

Pan dr. Sz zamiast wstydzić się swego postępowania zamieścił w sobotę artykuł p. t. „Honor miasta Poznania uratowany!“ Jeżeli jeszcze p. dr. Sz. miał wśród społeczeństwa przyzwoitszego jakichkolwiek zwolenników, to stracił ich po ogłoszeniu swego ohydnego w całem tego słowa znaczeniu pisma. Wystarczy przytoczyć następujący ustęp, by sobie wytworzyć sąd o p. Szymańskim i jego zasadach. Pisze on:

„Lepiej — stokroć lepiej — *rozbić zebranie wyborcze*, aniżeli przyjmować kandydata, który [illegible].

„Lepiej *rozbić solidarność narodową*, jeżeli ta solidarność z komitetami ma prowadzić lud polski do nieuchronnej zguby.

„Nie lękajcie się wrzasków ze strony komitetów: lud polski je przetrzyma i wyjdzie zwycięzki.

„*Sieci na niego formalnie założyli* i już druty telegraficzne biorą do pomocy.

„Nie lękajmy się tego. [illegible] p. Cegielski na sali.

„Nie lękajmy się tego. *Nic się nie zepsuje, tylko się naprawi.* Nasi posłowie w Berlinie mogą przecież znowu głosować za rządem i nie narażą sobie Berlina... Jeżeli rząd pruski [illegible] posłów polskich można użyć do uśpienia ludu polskiego, to *nowi posłowie* wyprowadzą go z tego błędu.

„Już to będzie *wielkim zyskiem*. Choćbyśmy potem żadnych ulg nie doznali, których i teraz nie ma, to rząd pruski będzie spokojny o naszą lojalność, my będziemy spokojni o posłów naszych, zyskamy u rządu przynajmniej na szacunku, a walka żywiołu niemieckiego z polskim pójdzie dalej, jak idzie od wieków.

„Tu w Poznaniu i w obu powiatach poznańskich p. Cegielskiego nie dopuścimy do kandydatury. Szacunek dla jego osoby i poselstwa zachowamy, ale on musi paść ofiarą polityki Koła. Jeżeli go komitet centralny postawi, to *rozbijemy solidarność, bo inaczej zgoda by nas zabiła!*

„Na prowincyi róbcie to samo: jak nie przeprowadzicie pewnych kandydatów, to *protestujcie i rozbijajcie zebrania!...*“

Dzięki p. Szymańskiemu i jego zastępom, mieli Niemcy i żydki poznańscy po dwakroć miłe widowisko. Wczorajsze drugie zebranie przedwyborcze bowiem policya rozwiązała z powodu krzyku i hałasu, jaki powstał z chwilą, gdy przyszło do głosowania. Zwolennicy p. dr. Sz., widząc, iż są w znacznej mniejszości, postanowili, nie mogąc własnego (p. dr. Sz.) przeprowadzić kandydata, nie dopuścić do głosowania, jak im to zalecił ich zacny prowodyr. Postępowanie jego potępili jego właśni stronnicy i co chwila czytamy w pismach oświadczenia różnych osób, iż nie mają nic wspólnego z „Orędownikiem“. Doczekał się nawet tego, iż socyaliści uważają sobie za obrazę, gdy im ktoś przypisuje jakąś łączność z p. dr. Sz., który przed 8 lub najdalej 10 laty szukał towarzystwa socyalistów. Przekonali się oni jednakże niebawem, co to za osobistość i wykluczyli go z swego grona.

Ciężko przed Panem Bogiem odpowie p. dr. Sz. za to swoje postępowanie. Rzucił on nietylko kość niezgody między nasze zgnębione społeczeństwo, ale nadto wdzięczną przygotował niwę dla posiewu socyalistycznego i, daj Boże! aby tu nie było jak z owym uczniem czarownika w bajce Goethego, który wywoławszy ducha ciemności, nie umiał go znowu zażegnać. Wywoławszy rozpasane żywioły przez podsycanie ich namiętności, czyż p. dr. Sz. zdoła powstrzymać ich działanie?

W obec tych zajść gorszących komitet prawdopodobnie sam postawi kandydata, na którego głosować będą — jak się spodziewać należy — wszyscy uczciwie myślący pozostawiając p. dr. Sz z jego garstką krzykaczy na uboczu. Ogólna w mieście naszem panuje opinia, że p. Sz. nie można traktować jako człowieka normalnego, całe jego wystąpienie bowiem zdradza zbyt jawnie w najwyższym stopniu [illegible] rozdrażnienie nerwów. Ale zły czyn sam w sobie przynosi karę i p. dr. Sz. powinien już teraz truchleć na myśl o czarnych godzinach, które mu zgotuje własne jego sumienie.

Dziewiąte walne zgromadzenie

Tow. nauczycieli szkół wyższych.

Zawsze się tak zdarzało, że ile razy był zjazd w Krakowie, musiałem zostać w domu. To choroba, to jakiś kłopot rodzinny, to znowu przyjazd któregoś z krewnych do Lwowa — dość, że już mało brakowało do poddania się jakiemuś przesądowi, aż wreszcie tego roku nie było przeszkody i z gromadką kolegów wybrałem się do Krakowa. [illegible] mieścili nas wygodnie w hotelach, które, [illegible] są o całe niebo porządniejsze od naszych. Spieszymy do restauracyi „pod Różą“, gdzie zapowiedziana schadzka powitalna. [illegible] prawią, że Krakowianie są chłodni, sztywni, etykietalni. Prawda, że nie są krzykliwi, ale już w tej schadzce pierwszej czuć było, że witają nas serdecznie, uprzejmie, acz ze swobodą człowieka, który przywykł przyjmować u siebie i gość też nie wprawia go w ambaras. Nie rychło wróciło się do domu, bo tyle było do mówienia przy powitaniu, a tak się jakoś od serca mówiło, że dopiero po północy mogliśmy się rozejść. Co tam inni robili nie wiem, ale ja umówiwszy się z naszym historykiem Rawerem, poszliśmy sobie w niedzielę rano posłuchać hejnału. Żeby Mickiewicz słyszał był „hejnał“ wieży Maryackiej, byłby poemat o nim napisał. Proszę pójść rano o 5-tej na mszę do kościoła Maryackiego, popatrzeć na ten lud roboczy, nabożny, wypełniający olbrzymią świątynię, jak rzewnie śpiewa na nutę „Boże coś Polskę“ pieśń do Maryi Panny, a potem po nabożeństwie posłuchać tej odwiecznej muzyki trębacza krakowskiego, wytrębującego ze szczytów wieży na wszystkie strony. Z tej nuty płyną dzieje, płyną wieki, dźwięczy w niej skarga narodu i nadzieja. Oddałbyś za ten dźwięk hejnału wraz z Polem wszystkie opery świata. Po takiej muzyce, to już tylko na Wawel — a potem planty, te cudne, powabne, urocze planty w około i do kościoła św. Anny, gdzieśmy się wszyscy na nabożeństwo zgromadzić mieli. Z kościoła gremialnie wchodzimy do uniwersytetu. Portier w paradnym stroju u podwoi, berła akademickie nas witają, kroczymy do auli. Sala pełna. Profesorowie uniwersytetu, wiceprezydent miasta, prezes akademii umiejętności hr. Tarnowski, inspektorowie, dyrektorowie i nasza gromada liczna, ze wszystkich miast kraju.

Po załatwieniu formalności, przywitania urzędowego i sprawozdań, odczytał świetny referat o karności szkolnej prof. Tomasz Sołtysik ze Lwowa. Bardzo często spotyka się narzekania na zaniedbanie karności w szkołach dzisiejszych, na wybryki młodzieży, na pobłażliwość profesorów, lub nawet na ich niedbałość. Gdzieś jakiś luźny wypadek, jak ów w Tarnopolu, generalizuje się na pociechę liberałów wiedeńskich, którzy biorą ztąd asumpt do wołania, by kraj na nowo cywilizowali Niemcy, jak za dawnych czasów. Otóż referent zebrał daty statystyczne za dawnej i dzisiejszej karności i urozmaicił je historyą różnych dawnych wybryków studenckich. W jednem mieście dali studenci tercyanowi szkolnemu dwadzieścia plag za to, że nie chciał zamkniętych wypuścić; w innem mieście znieważył uczeń czynnie profesora w czasie

---

2)

Listy do przyjaciółki.

(Ciąg dalszy).

II.

Lwów, luty.

Kochana Jadziu!

Wybacz, żem od kilku miesięcy do ciebie nie pisała. Ale ty nie masz pojęcia, co to znaczy być zaręczoną. Niby nic właściwie nie robię. Od dnia zaręczyn pierwsze, co uczyniłam, było odprawienie nauczyciela muzyki, rysunków i nudnej, jak lukrecya, angielki.

Pojmujesz, że nie na to kobieta wychodzi za mąż, aby pracować, jak pensyonarka. Fortepian na klucz zamknęłam. Mama chciała się temu sprzeciwiać, ale ja poskarżyłam się przed moim narzeczonym, a on mamę zapewnił, że fortepianu nie znosi, choć to nieprawda, bo przepada za muzyką.

Ale on robi wszystko, co ja chcę. Tylko raz, kiedy prosiłam go, aby mi pożyczył pokryjomu przed mamą „Nanę“ Zoli, zaczerwienił się (mając lat trzydzieści i pięć) i odpowiedział, że tej prośby mojej spełnić nie może. Poczekam więc jeszcze trochę. Po ślubie nikogo o nic pytać się nie będę.

Ale o czem to chciałam ci pisać? Ach, tak — o tem, że niby nie robiąc nic, jestem cały dzień zajętą i niewyspaną.

Dniem bieganina wieczna po magazynach i sklepach; wieczorami do późnej nocy pańszczyzna z narzeczonym. Ani jednego jeszcze wieczoru nie opuścił i mówi, że każda godzina, w której mnie nie widzi, wydaje mu się wiekiem. No, to już przesada.

Dzień wczorajszy za to nie był monotonny; przeciwnie był aż nadto obfity w zdarzenia.

Posłuchaj: Byliśmy zaproszeni na herbatę do jego ciotki, która przyjechała ze wsi.

Sukni z wielkim trenem nie przyniesiono mi na czas z magazynu; musiałam więc iść w mojej pensyonarskiej muślinowej, w tej, którą miałam na popisie.

Bawiłam się wyśmienicie. Mojego narzeczonego zasadzono gwałtem do wista. Ukazywałam się w salonie bardzo mało, byłam więc w humorze, jak za dawnych czasów.

Siedziałam przez pierwszą połowę wieczoru w pokoju jego kuzynki; jest ona jeszcze dzieciakiem, ma ledwie lat czternaście, ale zaprzyjaźniłyśmy się z sobą ogromnie.

Jest trochę dziwna. Mówi, że za mąż nigdy nie pójdzie, chyba za blondyna. Była tam także jakaś jej koleżanka z pensyi z bratem. Ach ten brat jej — pyszny chłopak. Nazywa się Kostek. Ogromnieby ci się podobał.

Zna prawie całą naszę pensyę. Odrazu byliśmy z sobą, jak starzy znajomi. Cośmy się nadokazywali. Doszło do tego, żeśmy się gonili po pokoju. A śmiechy i wrzawa rozlegały się, jak podczas wielkiej pauzy na pensyi.

Kostek pysznie „robi“ burzę, grzmoty i pioruny, a ja udawałam pannę Touvenain i, jak ona, pamiętasz, weszłam, niby ze strachu przed grzmotami, na stół.

Na nieszczęście w tejże chwili ukazało się we drzwiach całe towarzystwo z salonu, na czele z jakimś panem prezesem, któremu mój narzeczony chciał mnie przedstawić.

— Pani mecenasowa na stole? — zapytała, śmiejąc się niby do rozpuku, panna Tola.

Mój narzeczony poczerwieniał. Mama robiła *bonne mine au mauvais jeu;* nie mogła się jednak powstrzymać, aby mi nie szepnąć na stronie:

— Jesteś niemożliwa!

Gniewało mię to tem bardziej, iż czułam, że mama miała najkompletniejszą słuszność. Albo się jest narzeczoną, albo się nią nie jest! W każdym razie zblamowałam się, jak ostatni dzieciuch.

Czułam, że w mojej białej pensyonarskiej sukience wyglądałam na tym nieszczęsnym stole, jak mała dziewczynka, której powinni dać do zabawy lalkę, nie narzeczonego. I w uszach mi brzmiały wymówione z przekąsem słowa panny Toli:

— Pani mecenasowa na stole.

— Ach! *mea culpa, mea maxima culpa!* jak mówił Wacek. I prawie ze łzami w oczach zapytałam ze szczerą skruchą mego narzeczonego:

— Pan się na mnie gniewa?

— Ja panią uwielbiam — odrzekł rozpromieniony. Nazwał mię przytem promykiem wschodzącego słońca, którego dziecięcy uśmiech rozprasza ożywczem tchnieniem chmury ze stroskanego czoła. Tylko tyle. Sytuacya była uratowaną.

Nie wyszłam już tego wieczora z salonu i starałam się ze wszystkich sił zatrzeć to niekorzystne wrażenie, jakie uczyniłam z początku. Czułam, że mi się to udało.

Byłam jak nigdy ożywioną, rozmowną, jak panna Tola. Szkoda, że narzeczony mój tego nie widział. Biedak musiał kończyć wista z prezesem.

Na wieczorze tym był między innymi niejaki pan Wiktor Barski, blondyn, bardzo przystojny.

Mówią, że jest to straszny donżuan i że każda kobieta, która go zobaczy, musi zostać jego kochanką, ale to musi — koniecznie. Miał romans nawet z jedną aktorką; no, jednem słowem, jest to już taki donżuan, że coś okropnego.

Otóż zwrócił on tego wieczora uwagę na mnie. I słyszałam nawet, jak mówił komuś:

— Ta mała jest prześliczna!

Zbliżył się do mnie.

Z początku, naturalnie, po owej nieszczęśliwej historyi ze stołem, traktował mię, jak dziecko. Ale postarałam się, aby zmienił o mnie pod tym względem zdanie.

— Czy pani czujesz w sobie powołanie na żonę? — zapytał mię drwiąco.

— Nie wiem; jeszcze nigdy nią nie byłam — odrzekłam, patrząc mu wyzywająco w same oczy, z zebranemi siłami do walki.

— Już jako narzeczona powinnaś pani odczuwać pewien przedsmak.

— Nie mam takiej bujnej imaginacyi — odrzekłam bez zaczerwienienia — nie wyrokuję nigdy o obiedzie po jednej potrawie, tak, jak nie wyjawiam zdania o książce, której nie przeczytałam do końca.

— To tak?! — odrzekł przeciągle. — I tego wszystkiego uczą na pensyi? — zapytał po chwili, przysuwając krzesło.

— Na pensyi uczą wszystkiego — odrzekłam mu z cynizmem, podkreślając dobitnie każde słowo i patrząc mu w oczy. — Szkoda, że pana tam do nas nie oddano. Dowiedziałby się pan, że pensyonarki nie są tak naiwne, jak się wydają, rozumieją wszystko i wiedzą o wszystkiem bez wyjątku.

Widziałam, że był zdumiony. Przysiadł się do mnie i nie odstąpił mnie na krok przez cały wieczór.

Przyobiecał mi, że będzie w moim domu częstym gościem. Odpowiedziałam mu, że będzie zawsze mile widzianym, że, wyszedłszy za mąż, nie myślę marynować się za piecem, że chcę żyć i używać, chcę poznać świat i ludzi.

On był jakiś dziwnie rozpromieniony i uśmiechnięty.

Czas mi dość prędko zeszedł. I zajęta rozmową ani spostrzegłam, aż tu narzeczony mój staje naraz przedemną i blady, z zagryzionemi ustami, przemawia do mnie głosem, jakiego nigdy jeszcze u niego nie słyszałam:

— Panno Alino, jedziemy do domu.

— Zaczynasz wchodzić w swoje prawa despoty — zauważył żartobliwie pan Wiktor.

Zmierzył go groźnie od stóp do głowy i odrzekł przez zęby:

— Tak. Dla ciebie więc żadna już tu rola nie pozostaje.

O co im chodzi? Domyśliłam się wszystkiego. Był o mnie zazdrosny! Jakie to zabawne, prawda?

Nazajutrz konferował długo z moimi rodzicami, a rozmawiając ze mną bladł i drżał cały.

Mama przez cały dzień dziwnie się uśmiechała i ni ztąd ni zowąd całując mię, jakimś dziwnie żartobliwym tonem wyrzekła:

— Dzieciuch!

Dzień mego ślubu przyśpieszono. Po ślubie wyjeżdżamy natychmiast do Włoch. Jestem taka ciekawa tego wszystkiego!

Pomyśl: Wenecya, Florencya! A ja nawet w Wiedniu jeszcze nigdy nie byłam. No, i samo wesele, ten ślub w kościele, suknia z welonem... Zawsze to fakt dość ważny w życiu.

Jestem ogromnie, ale to ogromnie ciekawa, jak się to wszystko odbędzie.

Tymczasem napisz mi obszernie, obszernie, jak się miewasz i co słychać na pensyi? Co robi ta obmierzła Francuzica. Śmiać mi się chce, że ja będę miała wkrótce męża, a ona — figę. Czy *Fräulein* Ottilie zawsze cierpi na zęby? Czy Mania Ramkiewiczówna kocha się jeszcze w swoim studencie? Całuję cię po milion razy.

Kochająca cię przyjaciółka, już prawie mecenasowa *Kacperska.*

(Ciąg dalszy nastąpi)

lekcyi; w innem znowu wyrzucili uczniowie profesora za drzwi. O bitkach codziennych z żydami, o tłuczeniu szyb, to nie ma co wspominać, bo te były powszechne, codzienne, zwykłe. A przecież należy wziąć na uwagę, że szkół było mniej, klasy nieprzepełnione, gimnazya bez paralelek, więc łatwiej było utrzymać karność. A jednak nie utrzymali jej, bo jej utrzymać nie umieli profesorowie obcego pochodzenia, z których mało który miał serce dla młodzieży, mało który zyskał sobie jej miłość. Dziś o wybrykach tak wielkich a gromadnych, ani słychać. Zdarzają się swawole indywidualne i te szkoła stosownie karci, umiejąc zawsze zachować miarę właściwą. To też zupełnie słusznie wypowiedziało walne zgromadzenie to przekonanie, że karność młodzieży szkolnej nie uległa wcale pogorszeniu. Natomiast byłoby wielce pożądanem: 1) dokładniejsze określenie stosunku między szkołą a nadzorem domowym; 2) ściśle nadzorowanie pensyonatów i internatów; 3) zaopiekowanie się stosownem umieszczeniem młodzieży zamiejscowej za pośrednictwem prywatnych zabiegów. Dyskusya nad referatem prof. Sołtysika bardzo była ożywiona, a z niej przedewszystkiem dobyła się na wierzch ta smutna prawda, że rodzice z niedostatecznem zaufaniem zbliżają się do szkoły, że dzieci swe umieszczają „po stancyach“ za radą faktorów, posługaczy hotelowych, według anonsów, nie starając się ich zbadać, a rzadko kiedy za poradą szkoły. Ztąd tysiączne szkody, bo wiele, bardzo wiele chłopców nie znajduje należytej opieki „na stancyach“. Dadzą chłopcu jakiś tam kącik, dadzą licho jeść, często się nim posługują, ale mało, lub nic nie troszczą się o to, co i kiedy ten chłopiec robi. Byłoby to złe mniejsze; bo ileż to razy się zdarza, że na tych „stancyach“ chłopiec się uczy, ale nie przedmiotów szkolnych, jeno najstraszniejszego zepsucia. Otóż pod tym względem koniecznie potrzeba pewnej odmiany na lepsze, większego zbliżenia się rodziców do szkoły, a wzajemnie i większej gotowości ze strony dyrektorów i profesorów do udzielania rad i wskazówek. W dyskusyi różne czyniono wnioski, aby owe „stancye“ oddać pod kontrolę władz, ze względu na stosunki moralne i hygieniczne. Również interesującym, ważnym, a świetnie opracowanym był referat dr. Jordana i prof. Winkowskiego o jednorazowej nauce w szkołach średnich. Koło krakowskie uchwaliło kołatać u władz szkolnych, aby jednorazowa nauka stała się prawidłem, normą, jako ze względów dydaktycznych, hygienicznych i rodzinnych pożądana.

Z przyjemnością zanotować można, że w dyskusyi coraz więcej zwięzłości, rutyny parlamentarnej, coraz więcej treści, a coraz mniej zabierania głosu dla popisu, dla wygadania się, aczkolwiek i teraz jeszcze niektórzy znani z dawnych czasów „mawiacze“ we właściwy sobie rozwlekły, flegmatyczny sposób obciążają zabieraniem głosu tok obrad i znaczną część słuchaczy do dezercyi zniewalają.

Sprawa uczęszczania młodzieży szkolnej do teatru domagała się rozwagi, rozpatrzenia, wobec tego, że repertoar coraz bardziej zachwaszcza spekulacya, a młodzież szkolna wynosi z teatru często gęsto zarodki cynizmu, a nawet zupełnie odarta z puchu młodzieńczej fantazyi opuszcza progi parteru. Powzięto uchwałę, aby dyrekcya teatralna tylko na tych afiszach donosiła o zniżeniu cen dla młodzieży szkolnej, które obwieszczają przedstawienie uczciwej, moralnej, dla młodzieży odpowiedniej sztuki. Otóż na takie tylko przedstawienia wolno będzie uczęszczać młodzieży szkolnej, na wszelkie inne będzie miała wstęp wzbroniony, pod grozą dyscypliny szkolnej. Mają też być urządzane przedstawienia popołudniowe dla młodzieży, z repertoarem narodowym.

Dyskusya żywa, wieczór się zbliża, czekają na nas z ucztą w sali Tow. muzycznego. Sala niewielka, ale w miarę. Nie gubimy się w niej, ale i nie ciasno nikomu. Las zieleni przedziela salę, strojną w biusty znakomitych muzyków w nyżach umieszczone. Stoły w podkowę przybrane gustownie. Zapełnia się zwolna; w bocznej sali wyborne przekąski, koniaki, jarzębiaki, kminkówki, eleganckie zastawki, pyszne kanapki, a krakowscy koledzy tak umieją zaprosić, dogadzać, zachęcić, przepić w ręce, że — choćbyś nigdy nie pijał tych specyałów o tej porze — wypijesz ze smakiem, bo dobry smak otacza cię w około. Żadnej wrzaskliwości, nawoływania, wszystko cicho, a serdecznie, a zgrabnie. Służba zręczna, nie tupie, nie skrzypi butami, nie rozpycha się, nie goni, nie wywija serwetami; wyrasta jakby z pod ziemi, zawsze gotowa już nie na „zawołanie“, ale na „pomyślenie“ o niej.

Siadamy do wieczerzy. Za stołem prezes Akademii Umiejętności Stanisław hr. Tarnowski, prorektor ks. dr. Chotkowski, profesorowie uniwersytetu: Smolka, Jordan, Cybulski, Zakrzewski, Lewicki, Kreutz, Gluziński, Mars i t. d., radzca szkolny inspektor Lewicki, referent Zaleski, pełno dyrektorów gimnazyalnych, profesorów, razem około 150 biesiadników. Z po za zielonej ściany palm i fikusów, odzywa się muzyka wojskowa skocznym krakowiakiem, wesołość ogarnia, rozmowa się ożywia, z różnych stron koledzy poznają się, wymieniają myśli, zdania, serca znać przybyszów ogarnia niewysłowiona radość i każdy powtarza: „Jak ci Krakowiacy przyjmować umieją“. Czy pisać, że podano wybornego sandacza na ciepło, garnirowanego rakami? że potem była dobra polędwica, smacznie garnirowana jarzyną, potem lody, sery, czarna kawa, cygara? Ledwie skończyłeś piwo, już niewidzialna dłoń napełnia ci szklankę. Ale Krakowiacy do wina zapraszają i sami wolą wino od piwa. A no, to i trzeba brać w rękę kieliszek, bo dr. J o r d a n wznosi toast na cześć gości i wydziału Towarzystwa. Zacny prezes krakowskiego koła mówił z serca i trafił do serca, to też i serdeczne podziękowały mu oklaski. Nasz lwowski profesor S o ł t y s i k wzniósł toast na cześć rady szkolnej, a mowa jego podobała się bardzo. Jeden z krakowskich kolegów odzywa się do mnie: „Tego człowieka słuchałoby się bez końca. Nie porywa, nie zapala, ale uspokaja, łagodzi, rozjaśnia. Spokój i język klasyczny; myśl przejrzysta, czysta, krystaliczna; szkoda, że mówił tak krótko“. Znowu muzyka, znowu ożywienie, nowe kielichy, nowy toast. Inspektor dr. L e w i c k i, wznosi toast na cześć nauczycielstwa. Piękne to, zachęcające, nawet wzniosłe. Przepadły już czasy, gdy profesor przy drzwiach stać musiał w biurze inspektora, w postawie pokornej, złamany. Dziś inni inspektorowie, inne stosunki. Inspektor jest starszym kolegą, nie tyranem, więc rośnie szacunek dla niego, a rośnie i zaufanie, miłość. Tylko „t i m o r D o m i n i e s t i n i t i u m s a p i e n t i a e“, ale nie „timor inspectoris“. A ten „dominus“ to Pan nad Pany, to Bóg najwyższy i jemu „timor“, a ludziom tylko „reverentia“. Daj Boże zdrowie inspektorowi za toast serdeczny, krzepiący, podnoszący ducha.

Wstaje dyrektor dr. P e t e l e n z ze Sambora, idealny dyrektor-kolega. Dobrze, że nie chce się spalić, bo za nim pewnie i całe grono profesorskie i wszyscy uczniowie poszliby w ogień. Dr. P e t e l e n z toastuje na cześć uniwersytetu, a w ślad za nim dr. S m o l k a na cześć rodziców i młodzieży. Muzyka gra wieniec polskich pieśni. Pięknie ułożone potpourri; jest tam Chopin, jest Moniuszko, — a rozległy się nuty najmilsze i najdroższe tej pieśni, oblanej krwią na bruku warszawskim — i wszyscy powstali jakby ich wicher uczuć unosił do góry. Przebrzmiały dźwięki i zabrał głos prof. P i e n i ą ż e k z Krakowa. Powiedział, że wychowanie trudniejsze od nauczania, bo są autodydakci, ale nie słychać o autowychowankach. Że szkoła nie tylko uczy, ale i wychowuje, a więc ma na celu, by u młodzieży była nietylko s c i e n t i a ale i c o n s c i e n t i a. Pierwsza bez drugiej, bywa nieraz trucizną narodów i hańbą wieków; druga bez pierwszej tworzy uczciwe masy, ale nie tworzy przewodników. Nauczyciel jest szafarzem s c i e n t i i, a duchowny strażnikiem c o n s c i e n t i i, więc duchowieństwo pomaga szkole, bo bez religii i religijności nie ma wychowania, a więc nie ma i szkoły. Szkoła składać musi cześć Kościołowi, a szkoła p o l s k a podwójną, bo Kościół ją stworzył, bo Kościół ochronił sztandar narodowy w Częstochowie, gdy go na Litwie i w Wielkopolsce rozdarła zdrada, a w całym kraju opuściła trwoga. Bo wreszcie ze stolicy św. Piotra płynęły słowa nadziei, gdy z innej wołano: Żadnej nadziei! Otóż mówca wznosi toast duchowieństwa w ręce prorektora, posła ks. dra Chotkowskiego.

Teraz znowu dr. K r o t o w s k i z Podgórza pije na cześć posłów Sejmu w ręce hr Tarnowskiego, a hr. T a r n o w s k i odpowiada ślicznie, poważnie, uroczyście i pije na cześć Towarzystwa pedagogicznego, z którego łona wykluło się nasze i oddaje cześć ś. p. Sawczyńskiemu. Burza oklasków.

Co też to bają o Stańczykach krakowskich? A bodaj się tacy na kamieniu rodzili. To też doskonale powiedział teraz redaktor „Muzeum“ M a ń k o w s k i ze Lwowa, że my słowami walczymy ze sobą i dzielimy się, a sercami łączymy się, że te wszystkie gadaniny, to czcze słowa, bo skoro schodzimy się z sobą, ręce do uścisku się wyciągają, serca drżą miłością, patrzymy wszyscy w jeden cel, a wszyscy prosto, nikt zyzem, nikt opornie. Zwłaszcza gdy widzimy te czyny, które cicho, bez wrzawy spełniają się w Krakowie, uchylamy przed nimi czoła. A najpiękniejszy z czynów w Krakowie, to poświęcenie dra Jordana. Są tacy, co dają majątek na cel publiczny, są tacy, co umierają dla niego, ale dr. Jordan dał i majątek i pracę i życie całe na stworzenie swego parku, dla dobra przyszłych pokoleń, więc huczne mu: Niech żyje!

Czyż dodawać, z jakim zapałem toast ten przyjęto?

Finis coronat opus. Szereg oficyalnych toastów kończył ks. dr. Chotkowski. Dowcip i ciepło serca, wzniosła myśl i zapał patryotyczny, a wszystko odziane we formę porywającą i dystyngowaną zarazem. „Z Mickiewicza potrzeba wziąć nazwę dla tego, kto wymyślił, by się dzieci polskie w obcym, niemieckim, uczyły języku. W Grażynie jest mowa „o urwiszu z psiarni krzyżaków“, powiada ks. rektor i to właściwa nazwa dla germanizatorów“. Toast był długi, a nam się wydał za krótkim — bo takich mów nie słyszy się często, chyba wtedy, gdy w „Zygmunta“ dzwonią na Wawelu. Takiego „Kochajmy się“, jak to dzisiejsze, nie słyszałem jeszcze, aczkolwiek pięćdziesiąt lat żyję, a toastów nasłuchałem się więcej, niż mam włosów na podłysiałej głowie.

Skończona uczta — brzmią jeszcze, jak ostatnie strzały na polu walki, nieoficyalne toasty w ściślejszem kółku, ale i te umilkły, muzyka zagrała marsza, dr. Jordan wychodzi, Krakowiacy proszą nas do Kijaka. W rynku na linii A-B kawiarnia na I piętrze, porządna, dywanami wyścielona strojna, elegancka, to ów „Kijak“. A no gawęda, herbata, czarna kawa, lody, partya bilardu, co komu do smaku. Główne siły zasiadły około stołu, a jest tam dr. Jordan, dr. Zakrzewski prof. uniwersytetu, dr. Gluziński, dr. Mat., dr. Lewicki, profesorowie uniwersyteccy, dyrektorowie gimnazyalni. I siwe głowy i łysiny i młode czupryny, wszystko w harmonii, wesołe, swobodne. Było tam i wesoło i dowcipnie, ale i poważnie. Ba! wszakże to godzina 1sza po północy. Wychodzimy. „Herbata i cygara, płacić chcę“. „Już zapłacone“. „Lody i koniak“. „Już zapłacone“. A toż co znowu? kto? Jakim sposobem? A no, wszakże to dr. Jordan, prezes Koła krakowskiego, i tutaj chciał być prezesem i gospodarzem. O źle! Zawstydzili nas Krakowianie. Wszędzie uprzejmość, gościnność, nawet o 1szej po północy.

Księżyc świeci, a miasto gazem oświetlone, a do tego tak wybornie, że sobie na rynku pod Spiskim pałacem wygodnie doczytuję *Przeglądu.*

Bez przesady powiadam, że tu na ulicy tak wygodnie czytać można, jakby u siebie w domu przy stoliku. Kiedy też uzyskamy we Lwowie krakowskie oświetlenie? Spać się nie chce, więc wszyscy gremialnie odprowadzamy dr. Jordana do domu.

W poniedziałek o 9tej z rana posiedzenie, zrazu ciekawe referaty, znowu dyskusya. Rzecz skupia się około referatu prof. Mazanowskiego z Bochni, o bursach dla ubogiej młodzieży.

Verum, dignum et justum est, to wszystko, co uchwalono, aby bursy były higienicznie urządzone, aby rodziców skłaniano do powierzania im swoich synów, aby stypendystów nakłaniano do umieszczania się tamże, a wreszcie, aby ze stypendyów opłacano koszta stypendystów w bursie. Słusznem też bardzo, aby wypłata stypendyów nie była półroczną z dołu, ale miesięczną z góry. Na posiedzeniu jest wiceprezydent dr. Bobrzyński; słucha dyskusyi uważnie, notuje,

Następuje wybór nowego wydziału, dyskusya nad kongresem nauczycielskim w czasie wystawy we Lwowie. Przeciw kongresowi występują dr. Cyfrowicz i dr. Zakrzewski, profesorowie uniwersytetu, i już myśleliśmy, że Krakowiacy mają jakąś animozyę do kongresu, ale zabrał głos prof. Pieniążek i gorąco za kongresem przemówił. A więc opozycya nie była krakowska, jeno indywidualną dr. Cyfrowicza i dr. Zakrzewskiego. Chwała Bogu!

Zakończono obrady.

Po południu zwiedzenie parku dr. Jordana. Zebraliśmy się licznie. Przybył JE. ks. kardynał książę biskup Dunajewski, JE. dr. Majer, dr. Stanisław hr. Tarnowski, wiceprezydent dr. Bobrzyński, inspektor dr. Lewicki, prezes Towarzystwa radzca dworu dr. Piętak, delegat Namiestnictwa i starosta krakowski p. Laskowski, pełno dyrektorów, profesorów. Przechodziliśmy boisko za boiskiem, a przy każdem tłómaczył zabawę, urządzenia, cele hygieniczne dr. Jordan. Wierzajcie mi, iż pióro wypada z ręki. Jak tu pisać, kiedy łzy do oczu się cisną na wspomnienie tych kilku tysięcy dziatwy bawiącej się, gimnastykującej, śpiewającej narodowe pieśni, ugrupowanej podług płci i wieku pod kierunkiem fachowych przewodników. Tego opisać nie można, to trzeba widzieć.

Skończyły się zabawy, stajemy gromadnie w hali na tarasie, a przed nami defilują zastępy karne, a wesołe, czerstwe, żwawe, ochocze. Harmonia przygrywa, to znowu pieśń narodowa płynie z ust dziatwy. Skończona defilada, dr. Jordan zaprasza do hali na podwieczorek. Podają herbatę, torty, ciasta, lody; Harmonia gra walce nie źle, rozmowa ożywiona, ale trzeba ku domowi. Zwracamy się ku drzwiom, zamknięte, drugie, trzecie — wszystko zamknięte, a dr. Jordan porywa pod ramię odprowadza na miejsce, nie puszcza. Kazał drzwi pozamykać dopokąd nie wypijemy beczki wina. Cóż robić? A to z tymi Krakowiakami nie ma żartów. Jedz, pij, nie rusz się, bo cię nie puszczą, aż gdy będą półmiski i kieliszki próżne. Ba! ależ bo te kieliszki i te półmiski wciąż się napełniają. Ledwieś zjadł kawał torta, już nowy spada ci na talerz, bo pomocnicy Jordana, przewodnicy dziatwy, akademicka młodzież idealnie spełnia obowiązki gospodarskie. Nasz zacny, ukochany Piętak wzniósł śliczny toast na cześć Jordana. Jordan odpowiedział, a znowu inni na cześć gospodarza, aż dr. Tomaszewski na cześć tych poczciwych pomocników, tej młodzieży akademickiej, co woli służyć dziatwie, niż bilardy rozbijać.

Ciemny wieczór zapadł, dopiero otwarto drzwi, wyjść pozwolono, bo nowa czeka niespodzianka. Śród posągów bohaterów polskich w parku rozsypanych, osobne miejsce ma posąg Kościuszki. U stóp jego ugrupowała się dziatwa w pyszny żywy obraz. Zabrzmiała muzyka Harmonii, potem rozległy się pieśni narodowe dziatwy, zapłonęły ognie bengalskie — łzy popłynęły z oczu widzów. W parku Jordana wyrasta zdrowe pokolenie, wyrasta przyszłość narodu. Żal odjeżdżać, a trzeba. Odjeżdżamy z podniosłem, uroczem wrażeniem. Dzięki wam, Bóg zapłać wam, coście nas podnieśli, uścisnęli, pokrzepili na duchu. Cześć dr. Jordanowi.

Rada miasta Lwowa.

Lwów 29 maja.

W sobotę skończyły się obrady nad sprawą budowy elektrycznego tramwaju. Przemawiali jeszcze w kwestyi tej pp. Syroczyński, dr. Roszkowski, dr. Byk, dr. Marchwicki i Kędzierski w obronie wniosków komisyi, zaś pp. prof. Gostkowski, Rewakowicz i Niemczynowski przeciw wnioskom komisyi, poczem Rada w imiennem głosowaniu przyjęła wnioski komisyi z poprawkami proponowanymi przez mówców z opozycyi, a mianowicie uchwalono, że gmina m. Lwowa postanawia wybudować kosztem 660.000 kolej elektryczną oraz zakład do wytwarzania i przesyłania prądu elektrycznego kosztem około 200.000 zł. Opuszczono więc w tej uchwale słowa, iż budowa ta ma być wykonaną „na własny rachunek“ i że ma być prowadzona „systemem górnego prądu“. Przyjęto także wniosek p. r. Rawskiego opiewający: „nie uwłaczając powziętej uchwale budowy kolei elektrycznej, komisya elektryczna przed przystąpieniem do budowy po rozpatrzeniu ofert dzierżawnych wejdzie w rokowania z oferentami i przedstawi swe wnioski Radzie miejskiej“, oraz dodatek prof. Gostkowskiego, że uchwalona na cele budowy kwota ma być użytą tylko w miarę potrzeby.

Wszelkie inne wnioski i poprawki odrzucono Powzięta więc onegdaj uchwała nie obowiązuje jeszcze Rady miejskiej do niczego, ułatwia jej tylko uzyskanie od ministeryum koncesyi. Po otrzymaniu jej przyjdzie sprawa budowy raz jeszcze przed Radę i wówczas dopiero reprezentacya nasza postanowi, czy przedsiębiorstwo to ma być dokonanem i prowadzonem na własny rachunek, czy ma być rozpisaną oferta na budowę i dzierżawę.

Do deputacyi, która wczoraj wyjechała do Wiednia, aby przeprowadzić rokowania w celu uzyskania od ministeryum koncesyi na budowę kolei, wybrano pp. prezydenta Mochnackiego, dr. Byka, prof. Gostkowskiego, Szajera, dyrektora Hochbergera i radzcę magistratu Łyszkowskiego.

Na początku onegdajszego posiedzenia p. r. dr. M a ł a c h o w s k i zainterpelował p. prezydenta, w jakiem stadyum znajduje się sprawa budowy dworca kolejowego na placu Solskich. Na interpelacyę tę odpowiedział p. wiceprezydent Marchwicki, że sprawę tę należy uważać za ostatecznie załatwioną, niestety dla miasta niepomyślnie, gdyż dyrekcya kolei państwowej sprzeciwiła się budowie tego dworca, ze względu na olbrzymie koszta 6—7 milionów. Dr. Małachowski w obec tego postawił wniosek nagły, aby Rada tym delegatom, którzy pojadą do Wiednia w sprawie budowy kolei elektrycznej, poleciła także poczynić raz jeszcze w Wiedniu odpowiednie kroki celem doprowadzenia do skutku budowy tego dworca. Nad wnioskiem tym wywiązała się żywa dyskusya, poczem wniosek dr. Małachowskiego uchwalono.

Posiedzenie Rady w sobotę trwało od godziny trzy kwandranse na 7mą do godziny 11 min. 15.

ODEZWA.

Towarzystwo pedagogiczne, idąc za postanowieniami wiekopomnej Komisyi edukacyjnej narodowej, która w ustawach swych położyła wielki nacisk na fizyczne wychowanie młodzieży, celem przysporzenia społeczeństwu nietylko cnotliwych ludzi, lecz także Ojczyźnie dzielnych obywateli, pierwsze wprowadziło w kraju naszym w roku 1883 instytucyę kolonii wakacyjnych, które w innych krajach już od dawna istniały, a obecnie coraz więcej się rozwijają.

Instytucya ta znalazła u nas zaraz w pierwszej chwili ogólną całego społeczeństwa sympatyę, którą się dotąd stale cieszy.

Jak w latach poprzednich, tak i w roku bieżącym zamierza Zarząd główny Towarzystwa pedagogicznego wysłać po 50 chłopców w dwóch seryach, licząc na to, że ofiarność publiczna przyjdzie chętnie z pomocą dziatwie, która wśród niehygienicznych warunków miasta wyczekuje z upragnieniem, żeby mogła wesoło i swobodnie pobujać po halach i górach, pokrzepić ciało i ducha do dalszej pracy.

W roku bieżącym kolonia nasza mieścić się będzie również w pięknej okolicy Beskidu, w przysiółku Zełenianka, położonym między Hrebenowem a Tuchlą.

W nadziei, że szanowna publiczność, która jest tak ofiarną dla wszystkich patryotycznych i humanitarnych instytucyi, i naszym usiłowaniom pospieszy chętnie z pomocą, upraszamy wszelkie — choćby najdrobniejsze datki — nadsyłać do kancelaryi Zarządu głównego Towarzystwa pedagogicznego we Lwowie, ul. Ossolińskich l. 11.

Z Zarządu głównego Tow. pedag.

Czas odnowić przedpłatę. Za zmianę adresu (np. przy udawaniu się do kąpiel, lub z jakiegokolwiek innego powodu) należy z góry uiścić 20 ct.

„Wiarusy,“ powieść trzytomowa w wydaniu książkowem, jest do nabycia w administracyi „Przeglądu“ dla prenumeratorów naszych po 4 zł. z przesyłką pocztową.

KRONIKA.

Lwów 29 maja.

JE. p. Namiestnik, Kazimierz hr. Badeni, powrócił w sobotę z Wiednia do Lwowa.

Odznaczenie. Starosta w Tarnopolu, p. Alfred Madurowicz, otrzymał przy sposobności przeniesienia go w stan spoczynku, order żelaznej korony 3 klasy.

Konkursa. Magistrat miasta Stanisławowa rozpisał z terminem do dnia 10 czerwca r. b. konkurs na posadę dyrektora miejskiego zakładu gazowego. — Urząd gminny w Zabłotowie ogłasza konkurs na posadę weterynarza miejskiego. Podania należy wnieść do 15 czerwca rb.

Wiec ruskich radykałów ma się odbyć jutro w Kołomyi.

Stypendyum. P. Włodzimierz Niezabitowski nadał opróżnione stypendyum z fundacyi im. Ludwiki Niezabitowskiej o rocznych 210 złr. Bronisławowi hr. Russockiemu, uczniowi VI klasy gimnazj. w Brodach.

Zjazd koleżeński, po 15 latach złożenia egzaminu dojrzałości, gotuje się we Lwowie. Oto ci, którzy w roku 1878 ukończyli gimnazyum Franciszka Józefa — a wśród tych profesor Uniwersytetu dr. Balzer, adjunkt prokuratoryi skarbu dr. W. Bałaban, adwokat dr. Kwiatkowski, ks. Paweł Sapieha, Michał Torosiewicz — urządzają zjazd koleżeński we Lwowie dnia 11go czerwca rb. Komitet w tym celu zawiązany, zaprasza kolegów do wzięcia udziału w tej uroczystości, oraz prosi o podanie adresów i o zgłoszenie się ustne lub pisemne do dnia 3go czerwca u dra Oswalda Balzera, prof. Uniwersytetu we Lwowie, lub adw. dra F. Kwiatkowskiego we Lwowie, ulica Czarnieckiego 1.

Otrzymujemy następujące pismo: Koledzy! którzyście w roku 1883 zdawali maturę w wyższej szkole realnej w Jarosławiu, pamiętajcie o dniu 14 czerwca 1893 r.

Sp. Wiktor Osławski, o którego śmierci donieśliśmy onegdaj, emigrował do Francyi po powstaniu listopadowem i dorobił się tam bardzo znacznego majątku. Bogate zbiory swoje darował krakowskiemu Muzeum Narodowemu i przed kilku jeszcze dniami powiększył je ślicznym bronzem z czasów Ludwika XIVgo. Biblioteka jego równocześnie przeszła na własność Akademii Umiejętności. Majątek swój, z którego przeszło 800.000 złr. złożonych jest jako depozyt w wiedeńskim Banku austro-węgierskim, zamierzał przeznaczyć na fundacyę naukową dla Uniwersytetu krakowskiego i lwowskiego, i przed trzema laty, bawiąc w Krakowie, porozumiewał się w tej sprawie z prof. drem Zollem, którego też ustanowił egzekutorem testamentu. W r. 1860 został naturalizowany we Francyi, ale w r. 1885 przyjął obywatelstwo austryackie i złożył przepisaną na ten cel przysięgę we Lwowie. Jaką jest treść jego testamentu, znajdującego się obecnie w rękach sędziego pokoju w Paryżu, nie wiadomo. Prof. dr. Zoll ma w tych dniach wyjechać do Paryża.

Muzyka wojskowa 55 pp. grać będzie jutro we wtorek w parku Kilińskiego. Początek o godzinie pół do 6-tej.

Przy wyborach do Kasy chorych miasta Lwowa w dniu wczorajszym wybrani zostali z grona delegatów:

Do zarządu dr. Aszkenazy Tobiasz, Baczyński Roman, Bezen Filip, Englender Herman, dr. Feld Izaak, Lewicki Władysław, Mussil Adam, Nacher Karol, Obirek Julian, Primus Władysław, Stańczyk Stanisław, Woźniak Bazyli.

Na zastępców zarządu: Baumgarten Jan, Dewechy Fryderyk, Schwabl Jan, Gruszczyński Wład., Targoński Paulin, Bogucki Michał.

Do wydziału nadzorczego: Belland Bernard, Emot Ryszard, Gubaj Jan, Gąsiorowski Tadeusz, Hay Szymon, Krajewski Adam, Oberhardt Aleksand., Topolnicki Włodzimierz.

Na zastępców: Hescheles Dawid, Klobse Edmund, Krämer Dawid, Panajko Mikołaj.

Do sądu polubownego: Jaworski Ludwik, Kitaj Zygm., Krajewski Edward, Post Julian, Pordes Artur, Sagański Jan, Stepanek Julian, Schreiber Antoni, Streer Ignacy, Sikorski Michał, Weigel Adolar, Wysocki Franciszek.

Na zastępców: Bisanz Filip, Czarnecki Karol, Słojowski Jan, Sopiński Bolesław, Schiffmann Joachim, Schweitzer Leopold.

Ślub. W sobotę w kościele OO. Karmelitów w Krakowie odbył się ślub p. Julii z baron. Gostkowskich Szalayowej z p. Wiktorem Nennelem, radzcą sądowym.

Wieczorek ku uczczeniu pamięci śp. Lenartowicza urządza Czytelnia akademicka dnia 10 czerwca w sali „Sokoła“. W wieczorku wezmą udział najznakomitsze siły artystyczne Lwowa. Dochód przeznaczony w połowie na koszta pogrzebu wieszcza, w połowie zaś na „szkołę ludową“.

„Echo“ urządza w niedzielę dnia 4 czerwca wycieczkę do Jarosławia, gdzie w tym dniu wystąpi po raz pierwszy z koncertem. Dochód z koncertu o bardzo urozmaiconym programie jest przeznaczony na rzecz miejscowego „Sokoła“. W wycieczce biorą udział wszyscy członkowie chóru.

Ostrzeżenie. Inkasent Kasy chorych m. Lwowa A. Borkowski został ze służby wydalonym. Nie należy przeto żadnych opłat do rąk jego uiszczać.

W. Gubrynowicz.

Wścieklizna szerzy się dość szybko wśród lwowskich psów. Temi dniami skonstatowano ośm niezaprzeczonych wypadków; nadto znajduje się pod obserwacyą mnóstwo psów podejrzanych, ale daleko ich więcej biega po mieście. Zalecamy więc ostrożność, zwłaszcza, że już parę osób psy pokąsały.

Z Izby sądowej, We wrześniu roku zeszłego wydrukowaną była w *Przeglądzie* korespondencya wójta Maksyma Nowosada ze Skoryk, w której powiedziano było, że niejaki Moszko Marder był jednym z inicyatorów emigracyi naszego ludu do Rosyi. Według oświadczenia wójta miał Moszko kupić od włościanina Lisowskiego „za piw darmo“ zboże nocą i udaremnić tym sposobem zajęcie zboża za zaległe trzyletnie podatki. Moszko Marder widział w tem doniesieniu obrazę honoru dla siebie i pociągnął wójta do odpowiedzialności karnej. Sprawa ta była przedmiotem rozprawy w sobotę przed sądem przysięgłych. Przewodniczył radzca sądu Nitarski w asystencyi radzców Majewskiego i Lorenza. Na ławie przysięgłych zasiadało pięciu chrześcijan i siedmiu żydów.

Po odczytaniu aktu oskarżenia, w którym Moszko Marder zdołał wynurzyć swoje oburzenie na *Przegląd*, nazywając pismo nasze antiżydowskiem, przesłuchano wójta Maksyma Nowosada. Oskarżony potwierdził swoje twierdzenia w zupełności, powołano więc jako świadka p. Wiktora Daszyńskiego, pocztmistrza ze Skoryk, który na żądanie wójta pisał korespondencyę o Moszku Marderze do *Przeglądu*. Zapytany przez obrońcę oskarżyciela, czy pisząc list ten, był przeświadczony o prawdziwości oświadczeń Nowosada, odpowiedział p. Daszyński twierdząco, ponieważ zna Moszka Mardera od lat kilkunastu a w sprawie kupna zboża od Lisowskiego chodził nawet do Moszka sam i przedstawiał mu, że niepotrzebnie wdaje się w takie interesy, gdyż „w narodzie jest gorączka“. Marder stawił się hardo i powiedział wtedy pocztmistrzowi, żeby się nie wdawał w nieswoje rzeczy.

Pan Daszyński opowiedział dalej, iż pomiędzy ludem rozpuszczono pogłoskę, że każdemu emigrantowi z Galicyi rząd rosyjski daje pięć morgów pola oraz chatę z ogrodem za darmo, co naturalnie działało na lud podburzająco do tego stopnia, że dawały się słyszeć głosy, iż „tutki treba wsio z dymom pustyty, szczoby żydy i lachy z nyczoho ne korystały“.

Według zeznania p. Daszyńskiego Moszko Marder był jednym z inicyatorów emigracyi naszego ludu do Rosyi, a twierdzenie swoje opiera na następujących trzech faktach, opowiedzianych mu przez interesowanych.

Karol Tracz, włościanin z Medyny, posiadał chatę z ogrodem i z kawałkiem pola, za co dawano mu jeszcze przed rozpoczęciem się ruchu emigracyjnego 600 złr. Kiedy gorączka wychodźcza owładnęła ludem na dobre, zawinął się Moszko Marder koło Tracza i za jego posiadłość dał mu 100 reńskich. Jak Tracz opowiada, Moszko wioząc go do notaryusza w Nowemsiole spoił go i Tracz nie wiedział, co właściwie robi. Powróciwszy do Medyny Moszko najął furę i powiedział do Tracza: „uciekajcie, bo rząd zeszle wojsko i mogą was nie puścić przez granicę“. Tracz rzeczywiście był jakiś czas w Rosyi, powrócił jednak i odgrażał się, że Moszka Mardera zaskarży o zwrot ziemi. Wkrótce jednak pogodzili się i Tracz jako odszkodowanie dostał jakąś mizerną chatę z ogrodem.

Drugą ofiarą Moszka Mardera był — według zeznania p. Daszyńskiego — Karpjan Pac, również włościanin z Medyny, który sprzedał wbrew woli swojej żony Marderowi dwa morgi pola. Pacowa nie chciała w żaden sposób iść do Rosyi i Pac począł się wahać, czy opuścić wieś rodzinną. Wtedy Moszko powiedział do niego: „ty durnyj chłop idy, a jak my żinku z chaty wykinemo, to ona za toboju pijde“.

Trzecim z rzędu jest Franko Senecki ze Skoryk, od którego spółka żydowska z Moszkiem Marderem na czele, kupiła podczas gorączki emigracyjnej cztery do pięciu morgów pola, oraz chatę z ogrodem. Senecki zgodził się z żydami sprzedać im swoją posiadłość za 915 złr. Gdy przyjechali do notaryusza, wyszedł z kancelaryi jeden ze wspólników, Chaimko i powiedział do Seneckiego, że w celu oszczędzenia kosztów stemplowych powiedzą notaryuszowi, iż kupują grunt za 700 złr. Senecki zgodził się i na to i kontrakt podpisał. Gotówki do rąk dostał 200 złr. i 500 złr. w jakichś książeczkach, których nie mógł nigdzie spieniężyć. Coby to były za książeczki, p. Daszyński nie wie, gdyż Senecki zwrócił je Chaimkowi. Po powrocie z emigracyi Senecki groził żydom procesem, dostał więc tytułem odszkodowania jakąś chatę z ogrodem, pieniądze jednak przepadły.

W dalszym ciągu opowiada p. Daszyński, że przed rozpoczęciem się rozprawy Moszko Marder proponował Nowosadowi pogodzenie się pod ciekawymi zaiste warunkami. Oto jako odszkodowanie za obrazę honoru miał Nowosad wystawić na imię Moszka Mardera weksel na 100 złr. i dodać mu gotówki 20 do 30 złr. Weksel ten miał służyć jako rękojmia, że Maksym Nowosad, jako naczelnik gminy Skoryki, nie będzie robił w czasie swego urzędowania Moszkowi Marderowi żadnych „przykrości“. Gdyby zaś Mardera jakakolwiek „przykrość“ spotkać miała, to w takim razie weksel będzie zaskarżony, czyli innemi słowy Moszko Marder namawiał wójta do nadużycia władzy.

Maksym Nowosad, spytany przez przewodniczącego, czy świadek mówi prawdę, odpowiedział: „to je wsio świataja prauda“.

Ponieważ w toku rozprawy wyszły na jaw szczegóły, rzucające nowo światło na działalność Moszka Mardera, o których w aktach dotychczas nie było wzmianki, przeto trybunał przychylił się do wniosku obrońcy oskarżonego Nowosada i rozprawę odroczył. Akta będą ponownie odesłane do sędziego śledczego a to w celu przesłuchania wymienionych przez p. Daszyńskiego włościan. Jak się zdaje, sprawa ta nie obejdzie się bez pomocy prokuratora.

Bezpieczeństwo na ul. Łyczakowskiej. W sobotę wieczorem o godzinie pół do 10 niedaleko kościoła św. Antoniego na ulicy Łyczakowskiej napadło czterech zbirów przechodzącą tamtędy panią O., potłukło ją i wrzuciło do rowu. Napadnięta nadaremnie wzywała ratunku, gdyż policyanta nie było w pobliżu ani na lekarstwo.

„Lutnia“. W sali Tow. gimn. „Sokół“ urządza we czwartek dnia 1 czerwca lwowskie Towarzystwo śpiewackie „Lutnia“ nadzwyczajny koncert, na którym ze współudziałem orkiestry pułku nr. 55 wykona kompozycyę Maxa Brucha op. 45 „Pieśń o dzwonie“ do słów Fr. Schillera w tłómaczeniu polskiem dra Bogdańskiego i Tytusa Słoniewskiego, na głosy solowe, chóry mięszane i orkiestrę.

Z Sokala donoszą, iż tameczny okręgowy inspektor szkolny p. Bronisław Sokalski zrezygnował ze swej posady.

Bankructwo. Wiedeński „Creditorenverein“ ogłasza niewypłacalność Tauby Morgenstern i Majera Premingera w Skałacie.

Goście z Węgier. Podczas pobytu gości z Węgier w naszem mieście, przewodnik tej wycieczki Eugeniusz hr. Zichy, w rozmowie z p. wiceprezydentem dr. Marchwickim, przyrzekł zorganizować w roku przyszłym wielką wycieczkę Węgrów do Lwowa na wystawę.

Szkoła ludowa. Wczoraj odbyło się walne zgromadzenie Towarzystwa Szkoły ludowej „Koła pań“ pod przewodnictwem p. Heleny Szczepanowskiej. W obradach wzięło udział 127 pań. Posiedzenie zagaiła pięknemi słowy p. Szczepanowska, wykazując szlachetne cele i dążenia Towarzystwa. Sprawozdanie Wydziału z czynności w roku ubiegłym przedłożyła p. Czechowiczowa. Wydział starał się nieść bezzwłoczną pomoc materyalną szkole wiejskiej i dziatwie, szerzyć oświatę między ludem przez rozdawanie książeczek popularnych i zakładanie czytelni, na co używał połowy zwyczajnych wkła-

dek członków, drugą połowę zaś odsyłał do głównej kasy całego Towarzystwa w Krakowie na pomnożenie tych funduszów, których wzrost w przyszłości umożliwi czynniejszą akcyę na polu oświaty.

W ciepłe ubrania zaopatrzono szkoły w Zamarstynowie, Cieszynie, Rudzie, Tomaszowcach i Kulikowie, uważając przytem, by odzież krojem miejskim szyta, nie dostawała się dzieciom wiejskim i nie była powodem pogardy dla własnego ludowego stroju. Prócz tego wysłano do szkół powyższych przybory szkolne do nauki pisania i rysunku, jakoteż materyały i przybory do nauki robót ręcznych dla dziewcząt. Pomiędzy dzieci szkoły zamarstynowskiej rozdano prócz tego pewną ilość popularnych książeczek.

Czytelń Koło lwowskie posiada trzy — na Snopkowie, w Schodnicy i w Myszynie. W celu powiększenia swych funduszów podjął Wydział dwa przedsiębiorstwa, które niezawodnie sympatycznie przez publiczność przyjętemi zostaną, a mianowicie przedsiębiorstwo papierów listowych i automatów z zapałkami. Papiery listowe, jakoteż i karty na wieńce zakupywać można albo w kancelaryi Towarzystwa ul. Jagiellońska l. 7 w piątek po południu, albo w handlu papieru p. Bromilskiego i innych. Automaty z zapałkami umieszczone będą w miejscach, gdzie największy ruch się koncentruje. Sprawozdanie to przyjęto do wiadomości bez dyskusyi, wyrażając zarządowi podziękowanie.

Następnie pani Bieńkowska odczytała sprawozdanie kasowe. Dochody wynosiły 1683 zł. 94ct. Rozchody przedstawiają się, jak następuje: 1. Posłano Zarządowi głównemu w Krakowie: a) z datków jednorazowych zł. 527·03, b) wkładki panów 284·64, c) połowę władek pań 351·22. 2. Tercyarkom w Cieszynie na Ochronkę 100·—. 3. Czytelniom: w Snopkowie 15·—, we Lwowie 20·—. 4. Pomoc nauczycielowi ludowemu w Czerkaskach 45·—. 5. Przybory szkolne i ubrania dla dzieci 137·60. 6. Portorya i drobne wydatki wynosiły 89·—. Pozostała gotówka w kasie wynosi 238·56. Na wniosek pani Wechslerowej udzielono wydziałowi absolutoryum.

W dalszym ciągu pani Jeleniowa przedstawiła sprawę zaprowadzenia papierów listowych i automatów, poczem wezwała zgromadzone panie do zebrania biletów, z których ma być uwity wieniec na trumnę śp. Lenartowicza. Stosownie do wezwania, wszystkie panie złożyły natychmiast bilety, dostarczone przez Towarzystwo, zaopatrzywszy je własnoręcznemi podpisami.

Na pogrzeb śpiewaka Lirenki pojadą do Krakowa jako delegatki panie: Protungowa, Pawlikowska, Horoszkiewiczówna i Machczyńska.

W końcu przystąpiono do wyborów. Przewodniczącą wybrana p. Helena Szczepanowska, zastępczyniami jej pp. Marya Jeleniowa i Marya Romanowiczowa; skarbniczkami: pp. Stanisławowa Bieńkowska, Stanisława Grossówna. Sekretarkami pp. Bogumiła Czechowiczowa, Marya Szydłowska. Do komisyi kontrolującej weszli p. Zofia Horoszkiewiczown i p. Adolf Stroner.

Przed zamknięciem posiedzenia prezes „Koła męskiego", p. Tadeusz Romanowicz, zawiadomił zgromadzenie, iż wydział „Koła męskiego" w pierwszych dniach czerwca urządza wieczorek muzykalno-deklamacyjny w „Sokole" ku uczczeniu pamięci ś. p. Teofila Lenartowicza, a na dochód „Szkoły ludowej". Otóż p. Romanowicz prosił „Koło pań", ażeby zechciało wybrać trzy delegatki, celem urządzenia tego obchodu wspólnemi siłami. Pani Szczepanowska wyraziła radość, iż „Koło męskie" postępuje solidarnie z „Kołem pań". Na tem obrady zakończono.

Samobójstwo dwojga narzeczonych. W tych dniach odebrał sobie życie w Poli niejaki Ludwik Russ, właściciel niewielkiej fabryki przetworów chemicznych w Wiedniu, podając w listach do rodziny jako powód, iż w nieszczęśliwych spekulacyach stracił cały majątek i w skutek tego żenić się nie może. Donosząc w liście do narzeczonej, Ireny Klopfer, urzędniczki pocztowej, o powziętym stanowczo zamiarze samobójczym, prosił ją w czułych słowach, aby i ona odebrała sobie życie. W tym celu posłał jej kwas pruski. Nieszczęśliwa dziewczyna była posłuszną prośbie narzeczonego: na drugi dzień rano znaleziono ją w łóżku bez życia. Ludwik Russ zażył najpierw truciznę, strzelił potem do siebie z rewolweru a następnie rzucił się w morze.

Nagła śmierć. W biurze administracyi podatków zmarł onegdaj nagle Nikodem Sabatowicz, oficyał, liczący lat 43. Wezwany ze stacyi ratunkowej dr. Helmann, skonstatował śmierć skutkiem udaru sercowego.

Morderczynię niemowląt aresztowała wczoraj policya lwowska. Aresztowana zwie się Antonina Berezowska, liczy lat 25, jest wdową i trudni się przyjmowaniem dzieci „na wychowanie" i uśmiercaniem ich. Dochodzenia policyjne wykazały, że Berezowska w ostatnich kilku tygodniach zamorzyła troje niemowląt.

Pożary lasów. Dnia 16go bm. wybuchł ogień w lesie p. F. Morawskiego koło Hruszowa, w powiecie jaworowskim i na przestrzeni 60 morgów spalił wszelkie gałęzie i chrust znajdujące się na ziemi, oraz poobpalał korę na drzewach. Tego samego dnia wybuchł pożar w Trościance, w pow. jaworowskim, w lesie p. Szymanowskiego. W obu wypadkach szkody nie są znaczne.

Pożary. Na folwarku w Hanowcach spaliły się budynki i narzędzia gospodarskie wartości przeszło 5000 złr. — W Dąbrowie koło Stulska, w powiecie żydaczowskim, zgorzało 16 budynków mieszkalnych, 134 gospodarskich i 6 stogów. Szkoda wynosi przeszło 700 złr. — W Basiówce koło Nawaryi spaliło się 5 włościan. Szkoda wynosi około 4000 zł. Ogień wzniecił 3-letni chłopak bawiący się zapałkami.

List do Redakcyi. Od jednego z naszych abonentów na Bukowinie otrzymaliśmy następujący list o znanem już naszym czytelnikom zajściu między księdzem katolickim Schweigerem a prawosławnym archimandrytą Stefanellim w gimnazyum czerniowieckiem. List ten — oprócz opisu zajścia, którego nie powtarzamy — zawiera wiele ciekawych uwag o Polakach na Bukowinie.

Rok dobiega — czytamy w tym liście — jak rumuńska młodzież uniwersytecka wspólnie z policyantami w brutalny i każdego obywatela austryackiego hańbiący sposób wołała do gości przybyłych do Czerniowiec z Galicyi oraz do miejscowych Polaków: *Pereat Polonia!* a chcąc swe „przekonania" tem silniej zadokumentować, chwytała krzesła i szklanki i rzucała na wychodzących z sali restauracyjnej. Rozprawa sądowa wykazała, że udział w tym „rycerskim" czynie brali prawie wyłącznie studenci, świeżo na uniwersytet zapisani, oraz krewni i synowie rumuńskich księży.

Dzisiaj odkryliśmy jedno ze źródeł, zkąd ta młodzież rumuńska nabiera tak zjadliwej nienawiści do wszystkiego, co polskie. Oto nienawiść tę zaszczepiają w młode umysły katecheci prawosławni, gorliwi propagatorowie idei panrumuńskiej i nauczyciele Rumuni. Jaskrawym tego dowodem owo zajście w naszem gimnazyum. Z zajścia tego można przekonać się, że już nie sprawa narodowa polska, ale wiara katolicka jest solą w oku Rumunów, którzy znieść nie mogą, iż katoliccy księża gorliwie bronią dobra swego kościoła, że zabiegi ich pomyślnym są wieńczone rezultatem. Duch katolicki pomiędzy katolikami wprawdzie zwolna, ale coraz silniej się utrwala, a zawdzięczyć to można tylko pracy usilnej naszego duchowieństwa. — Polaków nienawidzą Rumuni, i nie szczędzą im najrozmaitszych i dotkliwych szykan. Postępowanie takie odnosi ten skutek, że Polacy niektórzy zapominają o swojej narodowości i stają się Rumunami. Środkiem do tego są małżeństwa mięszane, zawierane pomiędzy Rumunami a Polkami, lub Polakami a Rumunkami. Strona polska i katolicka dla miłego spokoju zgadza się na to, aby dzieci wychowane były w wierze prawosławnej i w duchu rumuńskim. Nic więc dziwnego, że dziecko skoro podrośnie, staje się nieprzyjacielem wszystkiego, co polskie i katolickie.

Młodzież polska w szkołach średnich wystawioną jest na szykany, a nawet prześladowana ze strony profesorów rumuńskich i wychodzi z gimnazyów, z bardzo małemi wyjątkami, narodowo zabitą. Niekorzystną jest rzeczą, że nauka religii wykładaną bywa po niemiecku, a przecież wszyscy zgodnie przyznać muszą, że właśnie religia w ojczystym języku wpajaną być powinna, aby na serce i życie młodzieży wpływ wywrzeć mogła. Niemcy w tym wypadku, tępiąc narodowość polską, idą ręka w rękę z Rumunami, i nie chcą widzieć tego, że i do nich Rumuni kiedyś zawołają: „Idźcie ztąd, bo tu kraj rumuński!" — Wielu ojców polskich ze względów czysto materyalnych nie pozwala dzieciom swym uczęszczać na wykłady języka polskiego, a tłómaczą się tem, że nie chcą dzieci wystawiać na szykany; młodzież polska jest w swych przekonaniach narodowych bardzo chwiejną, a nieraz boi się przyznać do swej narodowości i mówić po polsku. Niektórzy idą dalej i wprost zapierają się tego, że są Polakami.

Na pytanie, dlaczego tak czynią, odpowiadają zupełnie otwarcie:

„Jakże możemy czuć gorące przywiązanie do narodowości polskiej, chociaż pochodzimy z rodziny polskiej, skoro nie znamy historyi tego narodu. Nikt nas nie uczył historyi polskiej; uczono nas tylko, że Polacy są narodem zasługującym na wzgardę."

Bolesne są to słowa, wychodzące z ust potomków rodzin polskich, tem boleśniejsze, że prawdziwe.

W szkołach ludowych nie lepsze panują stosunki. Wprawdzie istnieje na papierze pozwolenie, aby dzieci polskie uczyły się po polsku; ale o wprowadzeniu tego pozwolenia w czyn mało kto myśli. Dziatwa czytać i pisać po polsku prawie nie umie, a mówi najhaniebniej w świecie, przeplatając słowa polskie rumuńskiemi lub też dając słowom rumuńskim końcówki polskie. Tworzy się z tego jakiś polsko-niemiecko-rumuński żargon dla ucha bardzo nieprzyjemny, a dla Polaka w zupełności niezrozumiały.

Niech słów tych kilka otworzy oczy śpiącym i pobudzi ich do sprężystej działalności w kierunku narodowo-katolickim na Bukowinie. Ludzi dobrej woli, przejętych zacną myślą, pomiędzy nami przecież nie braknie. Mamy nadzieję, że i nasi posłowie polscy w Wiedniu postarają się o to, ażeby nam nie odbierano naszych praw. Nie żądamy przecież nic nadzwyczajnego: pragniemy tylko, aby język polski był równie szanowanym, jak języki inne, a sądzić należy, że, jako obywatele austryackiego państwa, mamy do tego zupełne prawo.

Z pracowni. Z Rzymu piszą:

Siemiradzki wykończa obecnie kurtynę do teatru krakowskiego, która będzie znakomitem dziełem sztuki, tak ze względu na pomysł i na układ, jak na świetne i godne takiego mistrza wykonanie. Całość rozpada się na trzy grupy, z których środkowa mieści się w niszy, oddzielonej kolumnami od dwóch bocznych. Środkową tę grupę stanowi Geniusz unoszący się nad Pięknem i Prawdą, przedstawionemi w postaci prześlicznych kobiet. U stóp tych figur inna znów postać kobieca przedstawia komedyę, a poniżej Momus potrząsa sznurkiem, na którym zwisają maryonetki, wyobrażające wady i śmieszności ludzkie. Lewą stronę zajmuje muza Tragedyi, z załamanemi rękoma na tle ponurego krajobrazu, spogląda na dramatyczne postacie zbrodniarza ściganego przez furye ofiar zamordowanych itd. Po stronie prawej Psyche wyrywa się z objęć uciech zmysłowych i wznosi się ku muzie śpiewu z arfą w ręku. Na dalszem tle postać dziewczęca wieńczy posąg Terpsychory. Wszystkie te grupy ujęte są w architektoniczną całość, trzymaną w stylu klasycznym.

Znaczna część kurtyny, mającej dziesięć metrów szerokości i tyleż wysokości, jest już wykończona; zdaje się, że przy szybkości i zapale, z jakiemi Siemiradzki oddaje się swej pracy, całość będzie gotową najdalej w sierpniu. Słyszałem, że kurtyna przed odesłaniem jej na miejsce przeznaczenia wystawiona będzie przez kilka dni na widok publiczny w Wiedniu.

Ażeby tak piękne dzieło nie uległo szybkiemu uszkodzeniu, kurtyna nie będzie nawijaną na walec, lecz ma się opuszczać i wznosić w całości, a nadto do zasłaniania sceny w międzyaktach służyć ma inna, miejscowa kurtyna.

W pracowni znów Piusa Welońskiego — który, nawiasem mówiąc, prócz dłuta bierze czasem i pędzel do ręki — na uwagę zasługuje wykonana w naturalnej wielkości postać dziewczęcia, nazwana przez autora „Kaliną", a zamówiona do Warszawy. Włosi podziwiają to dzieło, choć artysta czerpał natchnienie z typów nie włoskich, lecz czysto swojskich. „Kalina" jest już wykończona, w robocie zaś są: pomnik śp. Pawła Popiela, który będzie odlany z bronzu i płaskorzeźba „Sielanka".

„Człowiek parowy" jest najnowszym płodem amerykańskiej pomysłowości. „Wynalazł" go profesor kanadyjski Moores. Nowy ten gatunek człowieka jest postacią mechaniczną, skonstruowaną z żelaza i stali, a dla większego złudzenia, zaopatrzony nawet w dymiące cygaro, wetknięte w usta. Wysoki na jeden metr i 82 cmtr. porusza się zapomocą umieszczonego wewnątrz mechanizmu z szybkością 5 do 8 kilometrów na godzinę. Wynalazca zawiózł „parowego człowieka" do Nowego Jorku, gdzie robi nim sensacyę nawet wśród jankiesów, a podobno nosi się z myślą zastosowania jego siły w przemyśle. Będzie to trochę trudno, bo nie posiadając wzroku, musiałby każdy egzemplarz „parowego człowieka" posiadać osobnego maszynistę dla nadawania mu kierunku.

Z Przemyśla piszą nam:

Tradycyjna uroczystość wianków, której w zeszłym roku zaniedbano, odbędzie się znowu w roku bieżącym staraniem komitetu przed kilku dniami zawiązanego. Przemyślanie pamiętają, jak świetnie wypadły wianki przed trzema laty, kiedy na nie przybyły setki gości ze Lwowa, Krakowa, Jarosławia, Dobromila, Mościsk, Radymna, a nawet ze Stanisławowa, a mimo znacznych wydatków pozostała znaczna nadwyżka pieniężna. San, płynący przez samo miasto i wznoszące się nad nim wybrzeże Franciszka Józefa, które stanowi naturalną trybunę, nadają się znakomicie do urządzania wianków. Jest nadzieja, że i w tym roku powiedzie się ta uroczystość, jedna z najpoetyczniejszych, jakie nam tradycya przekazała.

Zamierzone zaprowadzenie policyi rządowej w Przemyślu spotkało się z opozycyą rady powiatowej. Na onegdajszem jej posiedzeniu wiceprezydent dr. Czajkowski jako referent wniósł rekurs przeciw uchwale rady miejskiej, wychodząc z założenia, że rada miejska nie ma prawa zrzekać się na rzecz rządu sprawowania policyi.

Stan powietrza. Termometr + 9° Reaumura o godzinie 7 zrana, a w południe + 11° Reaumura Barometr 758. Idzie w górę. Deszcz padał całą noc i pada od rana z małemi przerwami.. Wczoraj padał także deszcz ulewny po południu, a barometr wskazywał 756.

Na wiosnę.

— Mój drogi mężusiu, pozwól mi obstalować u krawcowej dwie nowe suknie.

— Ależ mój aniele, czasy takie ciężkie, dochody nasze tak się zmniejszyły...

— Właśnie mój tyranie miałam to na oku, inaczej musiałbyś mi dać pozwolenie na cztery suknie.

Odpowiedzi Redakcyi. *Wny Pan dr. Zauderer w Brzeżanach.* Ankieta, o którą WPan zapytujesz, nie powzięła żadnych ostatecznych decyzyi. Zbierze się ona jeszcze raz przed następną sesyą sejmową i zastanawiać się będzie nad projektem ustawy krajowej, wedle której szpitale już istniejące utrzymywane być mają kosztem funduszu krajowego, zaś nowo powstać mające za przyczynieniem się interesowanych. — Sprawa szpitala brzeżańskiego wtedy tylko liczyć może na pomyślne załatwienie, jeżeli czynniki miejscowe ofiarnością swoją do tego się przyczynią, jak to nawet poprzednio przyrzekały.

— Dr. St. M. we Lwowie. Oczywiście można. Zechciej się Pan zgłosić do Biura Dzienników p. Plohna, gdyż zarówno anonse, jak i „Nadesłane" *Przeglądu* są mu wydzierżawione.

Korespondencya Administracyi. WPan Mateusz Stankiewicz w Sarnach. Numeru *Przeglądu* z dnia 23 maja nie było wcale, gdyż 22 maja było uroczyste święto, a jak WPanu wiadomo, *Przegląd* jest antidatowany. Ten numer, który wyszedł 23, nosił już datę 24.

Teatr. Dziś w poniedziałek: „Podróż na wschód", komedya w trzech aktach Blumenthala i Kadelberga. — Jutro we wtorek: przedstawienie składane i „Cavaleria Rusticana". Występ p. Kruszelnickiej.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** Popołudnia w niedziele i święta przeznaczone są, jak wiadomo, na przedstawienia sztuk polskich narodowych, tymczasem dyrekcya sceny lwowskiej darzy naszą publiczność popołudniową lichemi farsami i operetkami niemieckiemi, które na moralność tylko ujemnie wpływać mogą. Czyżby Wydział krajowy nie mógł stanowczo zażądać od dyrekcyi wystawiania w popołudnia świąteczne wyłącznie sztuk polskich i zakazać raz na zawsze karmienia publiczności popołudniowej obczyzną i utworami podkasanej muzy? W repertoarze teatralnym jest przecież mnóstwo sztuk autorów polskich, osnutych na tle narodowem, a jedynie odpowiednich na przedstawienia popołudniowe. Dyrekcya teatru raczyła nas wczoraj kupletami i drastycznym czardaszem w „Gorącej krwi".

Wieczorem wznowiony „Dramat jednej nocy" Aurelego Urbańskiego grano wielce niedbale i bez zrozumienia. Jedynie pp. Zboiński i Wysocki wywiązali się dobrze z powierzonych im ról. Nie pojmujemy, dlaczego roli kapitana nie grał p. Woleński, od jakiegoś czasu systematycznie przez dyrekcyę pomijany; a przecież postać tę, doskonale przez siebie zrozumianą i odczutą, oddawał on dawniej z wielkiem powodzeniem.

* **Publikacye Macierzy Polskiej.** W szeregu wydawnictw tej pożytecznej i sympatycznej instytucyi, wyszły z druku następujące książeczki: „Uczciwemu Bóg pomaga", powiastka z życia rzemieślnika, przez Fr. Rawitę, cena 16 centów; „Szczęście tylko w ojczyźnie" powieść przez J. A. Łukaszkiewicza, cena 20 centów i „Rady dla utrzymujących buhaje rozpłodowe" z dodatkiem ustawy krajowej o licencyonowaniu buhajów, przepisów wykonawczych do tej ustawy i programu wystaw przeglądowych bydła rogatego połączonych z premiowaniem, cena 10 centów. Książeczki te są do nabycia we wszystkich księgarniach tudzież w biurze administracyjnem „Macierzy Polskiej" w gmachu sejmowym.

Rozmaitości.

— **Szklane domy.** W Chicago, w tem mieście nagromadzających się coraz bardziej osobliwości ma powstać teraz grupa 17 domów,.. szklanych. Nie będą one, co prawda, zbudowane ze szkła zwykłego, lecz ze szklistej masy, która ma się odznaczać wielką odpornością na zmiany temperatury. „Cegły" szkliste można będzie kształtować i malować podług upodobania, tak, że z pozoru domy owe prawie niczem różnić się nie będą od zwyczajnych.

Nazwy zwierząt, które w dawniejszych czasach nie zawierały nic obrażającego, a nawet uchodziły za pieszczotę lub pochlebstwo, z biegiem lat zamieniły się na wyrazy obelżywe. I tak np. cielę nie oznacza dzisiaj w żadnym kraju nic pochlebnego, chociaż w starożytnej Indyi nazwy tej używano jako jednego z najbardziej rozpowszechnionych pieszczotliwych wyrazów. Dziś nikt w Europie nie weźmie określenia „gęś" za komplement, a jednak Arabowie z dumą nazywają „gęsią" każdą pracowitą i rządną gospodynię. Osioł doznał pod tym względem bardzo smutnego losu w Europie, gdy tymczasem w Azyi i Afryce cieszy się szczególnem poważaniem. Arab obchodzi się z nim nawet bardzo czule i nikomu nie przyjdzie na myśl, żeby kogo przezywać „osłem". I w Europie dawniej nazwa osioł nie zawierała nic obelżywego. Nazywali się tak nawet sławni mężowie i całe rody, jak np. u Rzymian: *Asinus Quadratus*, pisarz, *Quintus Asinus Marcellus* (54 r. przed Chr.), *Cornelius Asina*, *Cneius Cornelius Scipio Asina* sławny wódz, *Sempronius Aselio*, dziejopisarz rzymski, i t. d., również u Niemców. U nas w Polsce mamy także herb „Osiołek", a jeden z biskupów krakowskich nazywał się „Świnka", a wcale mu to ujmy nie przynosiło.

— **Obawa.** W jednej z menażeryi amerykańskich robiono niedawno próby w celu przekonania się, o ile prawdziwym i wielkim jest przysłowiowy strach lwów, tygrysów, słoniów i innych dużych zwierząt w obec zwyczajnej... myszy. Naprzód wpuszczono myszkę do klatki, gdzie się znajdowały dwa lwy ogromne; te odskoczyły w przerażeniu, rycząc straszliwie i usiłując wydostać się z klatki. Powoli uspokoiły się o tyle, że obwąchały gościa i nie zwracały już nań później żadnej uwagi. Podobnie też zachowywał się wielki tygrys królewski. Słoń drżał ze strachu i poruszał trąbą niespokojnie; ale wytresowany jego towarzysz z najzimniejszą krwią deptał przybyszów stopą. Pumy, hyeny i wilki, biorąc rzecz ze strony praktycznej, dusiły natychmiast szczury i myszy, jakie wpuszczono im do klatek.

— **Muzeum** sztuk dekoracyjnych w Paryżu wzbogacone zostało zbiorem lalek, które przedstawiają francuzkie stroje kobiece stanów wyższych w głównych epokach od najstarszych czasów do naszych dni. Kosztowne materye są, o ile było można je zebrać, autentyczne, pochodzące z danej epoki, którą strój ma przedstawiać. Ostatnie sześć lalek przedstawia stroje z czasów: Ludwika XVI, rewolucyi, pierwszego cesarstwa, Karola X, Napoleona III i z r. 1892.

Sport.

Wiedeń 28 maja.

Derby austryackie. Nagroda Jockey-Clubu 50 tysięcy zł. Hr. E. Batthyany'ego „Gourmand" 1, hr. T. Festeticsa „Dunkan" 2, tegoż samego „Dornröschen" 3, hr. M. Esterhazy'ego „Nem-szabad" 4, Hr. Tarnowskiego „Kropidło" i J. Krzysztofowicza „Kordian" ostatni. Biegało koni 17.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 27 maja.

(*Z*). Fizyognomia targu zmieniła się na lepsze w ciągu dwóch dni ubiegłych. Nie brak było bowiem wpływów dodatnich, i tak przemowa Najj. Pana do delegacyi musiała rozprószyć obawy tych spekulantów, którzy wiecznie i wszędzie upatrują widmo wojny, ceny zboża ponownie spadły dzięki deszczom, których cała monarchia nasza ma dziś w bród, wreszcie pieniądz zaczyna cokolwiek tanieć. W Londynie obniżył się eskont prywatny już na $3^7/_8$ prc. — Korzystnie oddziaływa także na kurs naszych papierów bankowych ta okoliczność, że kontrmina berlińska zagalopowała się cokolwiek w swej spekulacyi na kredyty, wystawiając na sprzedaż więcej materyału, aniżeli na całym targu berlińskim znaleźć można. To też nastał brak kredytów w Berlinie i arbitraż kupuje je u nas. Ostateczne zamknięcie wykazuje dziś zwyżkę na całej linii.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 335·—, węgierskie 393·—, Anglobanki 149·50, Uniony 254·50, Bankvereiny 123·40, Länderbanki 254·40, Ludwiki 217·25, Czerniowieckie 258·—, Renta papierowa 97·90, srebrna 97·60, austryacka złota 117·30, 4% austr. renta wal. kor. 96·30, węgierska złota 115·20, 4% węgierska renta wal. kor. 94·80, dukat 5·81, 20-frankówka 9·80$^1/_2$, marki 12·07—, ruble 1·28$^3/_4$.

§ **Kopalnie nafty w Gromniku.** Pisma czeskie i niemieckie donoszą, że w Pradze utworzyła się spółka komandytowa, celem eksploatacyi nafty na polach, położonych w pobliżu stacyi kolejowej Gromnik, na linii Tarnów-Stróże. W tym celu nabyła spółka obszar 600 morgów i rozpocząć ma bezzwłocznie wiercenie. Spółka składa się ze stu udziałów, z których 80 przypada na przedsiębiorców praskich, a 20 na galicyjskich.

Telegramy „Przeglądu".

Berlin 29 maja (pryw.) W koszarach gwardyi w Poczdamie eksplodował nabój dynamitowy, podrzucony przez nieznanego złoczyńcę, między amunicyą. Eksplozya nastąpiła w chwili, gdy dokonywano rewizyi magazynu amunicyi. Dwóch podoficerów ciężko rannych musiano odwieźć do lazaretu.

Belgrad 29 maja. Król Aleksander wydał ukaz, mocą którego pułk artyleryi morawskiej i trzeci pułk kawaleryi mają odtąd po wieczne czasy nosić nazwę pułków króla Aleksandra I, a 11 pułk piechoty nosić ma nazwę pułku królowej Natalii.

Radykaliści i postępowcy rozwijają bardzo ruchliwą agitacyę wyborczą. Liberałowie, chcąc osłabić stronnictwo postępowców, postanowili w takich razach, w których szanse zwycięstwa chwiać się będą między radykałami a postępowcami, głosować na kandydatów radykalnych.

Palestro 29 maja. Wczoraj odbyło się uroczyste poświęcenie mauzoleum, w którem złożono kości poległych tu w r. 1859 żołnierzy austryackich, francuskich i włoskich. W uroczystości tej wzięli udział: książę Aosty jako reprezentant króla, jenerał francuski Fabre, austryacki pułkownik Pott, tudzież deputacye parlamentu, armii, marynarki, stowarzyszeń robotniczych, towarzystw weteranów wojskowych i olbrzymie tłumy ludności.

Przemawiali: senator Cavallini i pułkownik włoski Faccio. Cavallini zakończył swą mowę okrzykiem na cześć Austro-Węgier, Francyi i Włoch. Jenerał Fabre przemawiał po francusku i podniósł w swej przemowie, że ta piękna uroczystość dowodzi, że i Włochy umieją być wdzięcznemi. Austryacki pułkownik Pott przemawiał naprzód po włosku, a następnie po francusku. Dziękował on za hołd złożony żołnierzom austryackim poległym na polu walki, co jest najlepszym dowodem postępu cywilizacyi.

Belgrad 29 maja. Król mianował Garaszanina pułkownikiem.

Hamburg 29 maja. Urzędownie stwierdzono tu jeden wypadek azyatyckiej cholery.

Cetynia 29 maja. Między mieszkańcami Skutari a plemieniem Miriditów przyszło do zatargu. Pięć osób zabito. Wysłano tam wojska tureckie.

Przyjechali do Lwowa

dnia 29 maja 1893.

HOTEL FRANCUSKI. Hrabia L. Starzeński z Podkamienia. Hr. M. Karnicka z Wołczuchy. W. Krzyżanowski z Lisek. C. Liskowacki z Nahaczowa. A. Gajewski z Romanowa. B. Skibniewski z Balic. S. Szymański z Sośnicy. H. Ettmayer z Sanoka. K. Panek i J. Klier z Jasła. O. Carmine, D. Fleischer z Wiednia. M. Windt z Pragi. J. Landau z Wiednia. M. Morawetz z Wiednia. T. Waydowski z Bóbrki.

HOTEL IMPERIAL. Hr. L. Michałowski z Krakowa. Br. M. Rothwiller z Brodów. F. Dohmgeryen z Berlina. Dr. B. Csillik i E. Nussbaum z Tarnopola. K. Stupnicki z Buczacza. J. Christian i A. Blum z Czerniowiec. G. Blum z Berlina. M. Skrzyńska z Wołynia. S. Turzański i C. Kiełkiewicz z Wołoczysk. Dr. C. Ambroziewicz z Nowosielicy. F. Sozańska z Szwejkowa.

HOTEL ZORZA. A. Mazaraki z Nestorowic. St. Tustanowski z Żurowa. Hr. E. Dzieduszycki z Izydorówki. St. Zaleski z Podola rosyjskiego. K. Rakowska i Wł. Makowski z Polski. W. Laureat z Cieszyna. K. Molinari z Wrocławia. S. Sokołowski z Krakowa. F. Schultz z Reims.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 29 Maja godz. 2. min. —.

Akcye kred.	336·75	Gal. oblig. propinacyjne	97·50
Alpiny	54·40	Wied. losy	175·50
Kredyty węg.	395·50	Akcye tyton.	182·50
Anglobanki	150·50	4% Poż. kraj. z r. 1893	96·10
Uniony	254·50	Elbethale	237·50
Ludwiki	217·25	Länderbanki	253·40
Nordbany	295·—	Renta zł. węg.	115·60
Lombardy	99·75	Bankvereiny	123.50
Losy tureckie	50·50	Węg. renta p.	94·70
Staatsbahny	307·—	Ruble	1.29.—
Czerniowieckie	258·50		

Usposobienie słabsze.

Lwów. Z Izby handlowej 29 Maja 1893.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	216	—	219	—
„ Lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	256	75	259	75
Banku hipotecz. galic. 200 zł. w. a.	370	—	—	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	215	—
Listy zastawne za 100 zł.				
Banku hip. galic. 5% los. w lat. 40	101	10	101	80
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	110	15	110	85
Banku hip. $4^1/_2$% wa. los. w 50 lat.	100	—	100	70
Banku krajowego $4^1/_2$% wa.	100	50	101	20
Tow. kred. galic. 4% I-sza emisya	98	—	98	70
„ „ „ 4% „ $41^1/_2$	97	—	97	70
„ „ „ $4^1/_2$% „ 52 lat	100	60	101	30
„ „ „ 4 „ 56 lat.	97	20	—	—
4. Obligi za 100 zł.				
Galic. fund. propinacyjnego 4%	97	30	98	—
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	102	50	—	—
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. II em.	102	25	—	—
Pożyczka kraj. 6%	105	—	—	—
„ „ $4^1/_2$%	100	30	101	—
„ „ 4%	96	—	—	—
„ „ 4% koronna	96	—	96	70
5. Losy.				
Losy miasta Krakowa	23	—	25	—
„ „ Stanisławowa . . .	36	—	—	—
6. Monety.				
Dukat holenderski	5.77		5.87	
Napoleondor	9.76		9.86	
Półimperyał rosyjski	10.—		—.—	
Rubel rosyjski srebrny	$1.28^1/_2$		$1.31^1/_2$	
„ „ papierowy . . .	$1.28^1/_2$		$1·29^1/_2$	
100 marek niemieckich	60.15		—60·60	

45)

FATALNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez

A. B. EDWARDA.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Harting.

(Ciąg dalszy).

Obadwaj udali się krętemi schodami na górne piętro, a my pozostaliśmy sami.

— Mein Gott! — zawołał profesor, obcierając chustką spocone czoło, z oznakami najwyższego zniecierpliwienia — czemu ci arystokraci nie mogą zostawić człowieka w spokoju? Fräulein Barbara, uciekasz pani, nim powrócą. Bardzo to rozsądnie z twojej strony. Cóżbym dał, abym mógł uczynić to samo!

— Och! nie... mój profesorze! Cóżby powiedział wielki książę, gdyby nikogo nie zastał w sali?

Profesor cofnął rękę, którą już wyciągnął po czerwony parasol.

— To prawda... masz pani słuszność; a jednak...

— Do widzenia, mój mistrzu!

— Do widzenia! A niech licho porwie!

Zbiegłam szybko ze schodów i skręciłam w pierwszy cienisty szpaler. Nie chciało mi się wracać do domu, ani też błądzić bez celu po Hofgartenie lub parku, uczęszczanym przez publikę; postanowiłam więc, korzystając z wolnego czasu, udać się do botanicznego ogrodu, gdzie nam uczniom dozwolony był zawsze wolny wstęp, wzbroniony ludności miejscowej, która dostawała się tam tylko za wyłącznem pozwoleniem władz lokalnych. Gdy przystanęłam u furtki, odźwierny rzekł do mnie:

— Nie ma tam żywej duszy. Będzie panienka miała cały ogród dla siebie.

Tego mi właśnie było potrzeba. Znużona i zbolała, pragnęłam samotności i tu ją znalazłam. Z początku przechadzałam się po żwirem wysypanych ścieżkach, niknących wśród zieleni; potem usiadłszy na stoku pogórka, u stóp rozłożystego drzewa, kołysana szmerem strumienia wijącego się wśród sitowia i tataraku, popadłam w głęboką zadumę.

Przyszłość... Jakaż czekała mnie przyszłość?

Doznawałam tak gnębiącego uczucia, jak człowiek, który mozolnie wspinając się na wierzchołek niebotycznej góry, widzi przed sobą szarą mgłę okalającą go zewsząd. Musiałam przebojem dążyć naprzód, nie widząc przed sobą jasno określonego celu życia; a w walce tej, do której sposobiłam moje siły, jakaż podtrzymywała mnie nadzieja? Ojciec zabronił mi stanowczo poświęcić się sztuce i pracą zdobywać sobie niezależne środki utrzymania; siostra okazywała głęboką pogardę dla moich „mrzonek"; oboje zranili mnie swoją obojętnością; to też dotknięta nią do żywego, po raz pierwszy zastanawiałam się, jak smutny los czeka mnie w życiu.

— Jeżeli wbrew woli mojej rodziny zostanę malarką, — rozmyślałam z goryczą, — skażę się dobrowolnie na wieczną samotność, zrywając ostatnie węzły, łączące mnie z moimi najbliższymi. Jeżeli ulegnę woli ojca, jakież będzie moje życie? Zostanę lalką salonową i wcześniej czy później zmuszona będę spełnić obowiązek przykładnej córki, starając się pozyskać dla ojca bogatego zięcia.

Boże! mój Boże! cóż to za smutna i poniżająca ostateczność! Na to więc pracowałam w pocie czoła, aby spaść tak nizko we własnej opinii? Na to śniłam takie sny złote o sławie... na to stawiałam takie niebotyczne zamki na lodzie, aby rzeczywistość rozwiała je jednem tchnieniem?...

Zatopiona w tych smutnych myślach, nie słyszałam szybkich kroków, biegnących po wijącej się w górze ścieżce; dopiero gdy dobrze znany głos zawołał mnie po imieniu, podniosłam głowę i ujrzałam Hugona, który przesadziwszy dwoma susami dzielącą nas przestrzeń, rzucił się znużony na trawnik tuż obok mnie.

— Już zaczynałem wątpić, czy cię odszukam! — zawołał. — Dwa razy obiegłem dokoła cały ogród i byłbym już dał za wygraną, gdyby mnie ogrodnik nie był zapewnił, że nie mogłaś wyjść bez jego wiedzy.

— Zkądże wiedziałeś, że jestem tutaj?

— Bom cię widział z Belwederu zdążającą w tę stronę i śledziłem twoje kroki aż do furtki.

— Jest to moje ulubione miejsce przechadzki — rzekłam. — Zacisznie tu i spokojnie.

— Aż nadto zacisznie — odparł, poziewając. — Jak myślisz, czy można tu palić?

— Tak sądzę. Ogrodnicy sami dają przykład po temu.

— A wasza królewska mość nie masz nic przeciw temu?

— Moja królewska mość tyle razy napełniała cybuch pański w Broomhill, że miała czas oswoić się z dymem — odrzekłam, śmiejąc się.

— To prawda, to prawda, Barbarina mia!

To mówiąc, zapalił hawańskie cygaro i wyciągnąwszy się wygodnie na trawie, zabawiał się czas jakiś posyłaniem w powietrzu wonnych kłębów sinego dymu.

— Sądziłem, że zastanę cię tu zdejmującą szkice z natury — odezwał się po chwili.

— Kiedy tu nie ma nic do szkicowania.

— Jak to? a egzotyczne rośliny, drzewa, storczyki, kaktusy...

— Ależ ja nie jestem malarką roślin.

— Nonsens, Barbarino! Oto właśnie szkopuł, o który rozbija się wielu artystów. Zdaje im się, że muszą sobie obrać jakąś wyłączną specyalność, bądź kwiaty, bądź krajobrazy, bądź postacie ludzkie, wyłączając zupełnie postronne rodzaje; wtedy gdy żaden malarz nie był prawdziwie wielkim, który w pewnej mierze nie skombinował wszystkich kierunków razem. Kiedy Rafael kładzie lilię w rękę Madonny lub umieszcza papugę wśród arabeski, maluje je z taką dokładnością, jak gdyby całe życie studyował tylko ptaki i kwiaty. Kiedy Rubens za tło swoje obiera krajobraz, żałować nam przychodzi, że nie był tylko pejzażystą. Wszechstronny umysł artysty powinien być zwierciadłem przyrody, w którem przeglądają się wszystkie twory żywe i martwe.

— Masz słuszność, Hugonie; ale któż może osiągnąć taką wszechstronną doskonałość?

— Byli tacy i mogą być jeszcze — odparł sentencyonalnie, rozkoszując się cygarem, jak zniewieściały basza turecki.

Nastała długa chwila milczenia, podczas której złote promienie słoneczne stopniowo zakradały się ku nam, płynąc strugami po świeżo skoszonej wonnej trawie. Mimowoli myśli moje powróciły do dawnego, smutnego kierunku, co też wzdrygnęłam się niechcący, gdy wyrwał mnie z nich głos mego towarzysza.

— Snuły mi się różowe fantazye po głowie od kwadransa — rzekł Hugon — a wszystko to à propos tych storczyków i kaktusów. Nastanie kiedyś straszny przewrót w świecie, Barbarino... Wielka rewolucya.

— Czy tak? — odparłam roztargniona. — I kiedyż to?

— Może za jakie dziesięć lub dwanaście tysięcy lat.

— To i cóż nas to może obchodzić?

— Jak to, co nas to może obchodzić? Ależ obchodzi nas i to bardzo, z punktu widzenia naukowego. Tak samo mogłabyś powiedzieć, co nas obchodzą gwiazdy i słońce. Mało jest przedmiotów nauki tak ciekawych, jak zmiany klimatów.

— Jakto zmiany klimatów? Nic nie rozumiem, co chcesz powiedzieć. Wspominałeś przed chwilą o jakiejś rewolucyi...

— Tak, o rewolucyi roślinnej, nie ludzkiej.

— Ależ bredzisz, Hugonie. Któż kiedy słyszał o rewolucyi roślin...

Roześmiał się, rzucił koniec niedopalonego cygara i wsparłszy się na łokciu, rzekł:

— Jakie z ciebie jeszcze dziecko, Barbaro! Chcesz, to ci rozsnuję całą przędzę moich fantastycznych spekulacyj?

— Bardzo cię o to proszę.

— Przedewszystkiem więc, nasza matka, Natura, nie jest tak konsekwentną, jakby się zdawać mogło. Jak każda kobieta, lubi ona zmianę. Rozprzestrzenia łożyska mórz, zmienia kierunek rzek i różne doświadczenia robi nad zmiennością materyi. Dlatego to zdarza nam się muszle od ostryg znajdować na szczycie Andów, o trzynaście tysięcy stóp po nad poziomem morza, a rybie szkielety wykopywać z pod pokładów skamieniałych lasów. Z tego widzimy, że lądy i morza są w jej dłoniach przenośną tylko zabawką; że z łona dzisiejszych oceanów mogą kiedyś nowe ziemie wypłynąć na powierzchnię, a stara Europa ze wszystkiemi swemi skarbami może zanurzyć się w bezdennej przepaści wód, nie zostawiając nawet wspomnienia po sobie.

Tu zatrzymał się i przesunął dłonią po skroni, jakby dla zebrania myśli. Widząc, iż słucham go zaciekawiona, po chwili zaczął snuć dalej wątek swoich marzeń.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Masłowski. — Papier braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Maniecktego. — Zarządzca: Walenty Hodak.